NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 21 grudnia 1907. Nr. 51.

Krwawa imatrykulacya.

(Treść na str. 2).



Od Redakcyi.

Numer gwiazdkowy, ostatni w tym roku, wyjdzie w zwiększonym formacie w objętości 32 stronic druku i zawierać będzie prócz illustracyi aktualnych, szereg interesujących zdjęć z Muzeum im. ks. Czartoryskich w Krakowie.

Numer ten pojawi się już w poniedziałek 23 b. m. wieczór, a od wtorku rano będzie go można nabywać w administracyi naszego pisma, oraz w biurach dzienników i trafikach, tak w całej Galicyi, jak i w Warszawie (biura G. Ungra).

Krwawa imatrykulacya.

(Do illustracyi tytułowej.)

Uniwersytet polski we Lwowie był w ubiegłym tygodniu znowu widownią gorszącej, krwawym wynikiem zakończonej bójki, jaką wywołali ruscy akademicy w czasie uroczystej imatrykulacyi. Uroczystość ta została naznaczoną na sobotę 14 bm. Ze względu na walkę, jaką ruscy akademicy toczą o charakter uniwersytetu lwowskiego, którego polskość nie ulega żadnej kwestyi i ze względu na rzekome koncesye, jakie rząd centralny za interwencyą ruskiego klubu parlamentarnego miał poczynić Rusinom, zjawiła się w przededniu imatrykulacyi deputacya polskiej młodzieży akademickiej i związku polskich stowarzyszeń akademickich u rektora i przedłożyła mu memoryał. w którym energicznie protestuje przeciwko wszelkim próbom utrakwizacyi lwowskiego uniwersytetu.

W myśl tego hasła przybyła też polska młodzież akademicka bardzo licznie na sam akt imatrykulacyi, którego zapowiedzią był silny oddział policyi pieszej i konnej, ustawionej w pobliżu gmachu wszechnicy.

I aczkolwiek rektor dr. Dembiński starał się usunąć jabłko niezgody przez zupełne zaniechanie odczytania roty imatrykulacyjnej, Rusini przecież zaprotestowali i przeciw tej formie imatrykulacyi, żądając odczytania łacińskiej formułki. Po złożeniu odpowiedniego oświadczenia przez jednego ze swoich przywódców, nakryli głowy i ustawieni w różnych punktach auli w liczbie około stu, poczęli śpiewać znaną pieśń antipolską „Ne pora!" To było hasłem do rozpoczęcia gwałtownej walki między polskimi a ruskimi akademikami, przyczem główną rolę odgrywały znowu pałki i toporki.

Ofiarą tej walki, która trwała około pół godziny i zakończyła się zupełnem wyparciem Rusinów, padło siedmiu akademików a to czterech polskich i trzech ruskich, których ciężko poraniono. Zawezwano pomocy stacyi ratunkowej, która opatrzyła ciężej ranionych a jednego z nich, ruskiego akademika Hasiuka, słuchacza medycyny, w bardzo groźnym stanie odwiozła do szpitala powszechnego.

Po tem krwawem „intermezzo" imatrykulacya odbyła się w najzupełniejszym porządku, aczkolwiek wszyscy pozostawali pod wrażeniem krwawych zajść, których widownią był uniwersytet. Po imatrykulacyi polscy akademicy wśród śpiewu pieśni patryotycznych udali się w pochodzie pod pomnik Mickiewicza, skąd po przemówieniu jednego z młodzieży rozeszli się w największym spokoju do domów.

Zajścia sobotnie, wywołane znowu przez hajdamacki odłam młodzieży ruskiej, wywołały wśród całego społeczeństwa polskiego a przedewszystkiem wśród polskiej młodzieży wielkie i zupełnie słuszne oburzenie. Niekulturalne, dzikie borby ruskich akademików, choć nie mogą grozić polskości lwowskiej wszechnicy, choć nie są w stanie tej placówki naszej kultury odebrać narodowi polskiemu, przecież przeszkadzają spokojnemu tokowi nauki, tamują bieg czynności uniwersyteckich i wywołują ferment niesłychanie szkodliwy. To też najwyższy czas, by władze położyły koniec tym hajdamackim borbom w miejscu poświęconem wyłącznie nauce i kulturze.



Krwawa imatrykulacya: Kordon policyi, otaczający gmach uniwersytetu we Lwowie.



Krwawa imatrykulacya: Karetka pogotowia ratunkowego, odwożąca rannych studentów z uniwersytetu.



Krwawa imatrykulacya. Młodzież polska w pochodzie pod pomnik Mickiewicza.

Ostatni zamach w Moskwie.

Ostatni zamach na generał-gubernatora moskiewskiego Herschelmana, zwrócił znowu uwagę świata całego na wewnętrzne położenie Rosyi, w której wybuchy bomb milkną tylko na pewien czas, lecz nie ustają zupełnie.

Gdy generał Herschelman jechał przed południem z adjutantem swym księciem Obolenskim na uroczystość dwóchsetletniego jubileuszu szpitala wojskowego, na zbiegu trzech ulic Szpitalnej, Chapiłowskiej i Lefortowskiej podbiegła — jak wiadomo — do sanek jakaś młoda kobieta i rzuciła bombę. Nastąpił straszny wybuch, którego detonacyę było słychać nawet w najbardziej oddalonych częściach miasta. Sanki zostały jakby piłą

przecięte na pół, przednia ich część zupełnie strzaskana, konie z porozcinanemi brzuchami walały się we własnych wnętrznościach, a woźnica, wyrzucony z siedzenia siłą wybuchu, odniósł nie zbyt ciężkie rany. Adjutant książe Oboleński, również wyrzucony z sanek, podniósł się ze śniegu bez żadnego szwanku, generał-gubernator Herschelman zaś nie odniósł najmniejszego nawet uszkodzenia, a tylko siła wybuchu oderwała mu kokardę od pałasza. Natomiast sprawczyni wybuchu zalana krwią, padła twarzą do ziemi bez czucia. Oko



Fot. A. Drankow, Petersburg.
Ostatni zamach w Moskwie: General-gubernator moskiewski Herschelman.

prawe ma wybite, czaszkę w dwóch miejscach roztrzaskaną, jedną nogę poranioną. Po opatrunku, jakiego dokonano w pobliskim szpitalu Basmannym, odwieziono ją do urzędu policyjnego.

Identyczności jej nie można było sprawdzić, zwłaszcza że nie odzyskała przytomności, mimo opieki lekarskiej. Sąd wojenny skazał ją na śmierć, wyroku jednak na razie nie wykonano, z powodu stanu jej zdrowia, którego prawdopodobnie już nie odzyska i tajemnicę swego nazwiska zabierze z sobą do grobu.

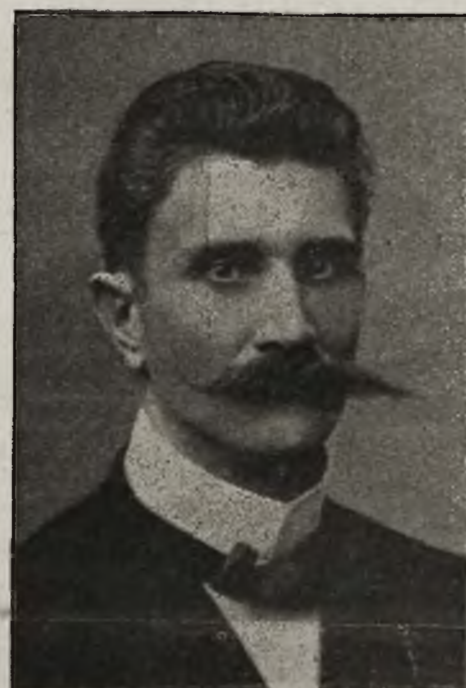
Uzupełniający wybór na Śląsku.

Powszechne wybory do austryackiej rady państwa, w maju b. r. odbyte, jakkolwiek przyniosły bardzo poważne zwycięstwo partyi socyalno demokratycznej, oddając w ręce jej przedstawicieli przeszło 80 mandatów, nie zdołały wprowadzić do parlamentu przywódcy polskich socyalistów, byłego posła Ignacego Daszyńskiego. Ponieważ zaś współudział tego wybitnego polityka socyalistycznego w pracy parlamentarnej, uznała partya za konieczny, przeto skłoniono posła Tadeusza Regera, wybranego w okręgu frysztacko-bogumińskim na Śląsku, do złożenia mandatu, a na opróżnione miejsce postawiono kandydaturę Ignacego Daszyńskiego.

Wybór został naznaczony na poniedziałek 16 grudnia. Przez szereg tygodni, poprzedzających dzień wyboru, prowadzono w okręgu wyborczym bardzo energiczną agitacyę, bo choć wybór Daszyńskiego zdawał się być zapewnionym, przecież kontr-kandydatura p. Bury, popularnego w owych stronach przywódcy robotników narodowych, zmuszała do poważnej akcyi.

Dzień wyborów przyniósł zwycięstwo p. Daszyńskiemu, który wybrany został posłem większością trzech czwartych oddanych ogółem głosów. Zwycięstwo to powitała krakowska partya socyalno-demokratyczna z powszechnem zadowoleniem, czego wyrazem była manifestacya, urządzona wieczór w dniu wyborów na ulicach Krakowa.

Nowo-wybrany poseł znany jest dobrze nie tylko w Krakowie i Galicyi, ale i w Wiedniu, gdzie jako poseł do rady państwa, zdobył sobie sławę jednego z najlepszych mowców parlamentarnych. W p. Daszyńskim zyskuje klub socyalistyczny siłę nadzwyczaj dzielną, pracowitą i pełną energii.



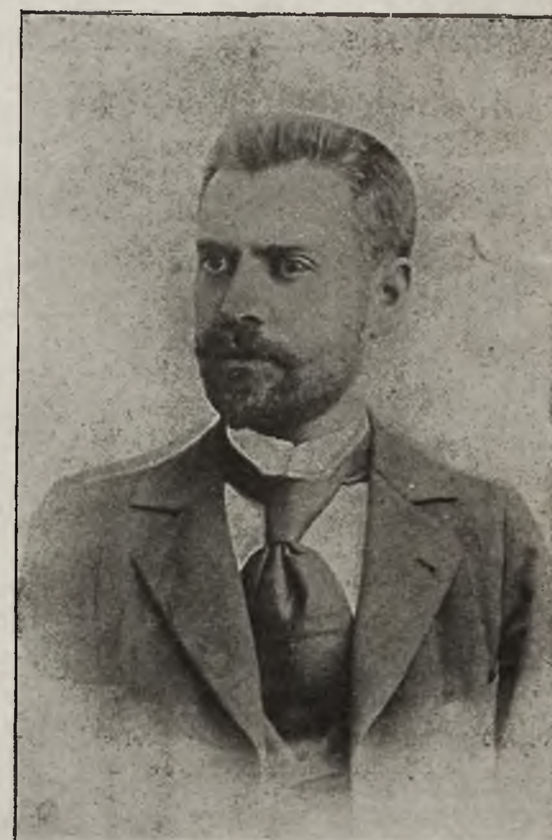
Uzupełniający wybór na Śląsku: Poseł Ignacy Daszyński.

Resztki balonu „Patrie“.

(Do illustracyj na stronie 10).

Pościg za francuskim balonem „Patrie“, który wyrwał się z rąk trzymających go żołnierzy, najzupełniej się nie udał. Jak wiadomo balon ten odbył ostatnimi czasy konkursową niejako podróż z Paryża do Verdun, w której okazała się dobitnie jego wyższość nad wszelkimi statkami powietrznymi innych mocarstw. W powrotnej drodze statek ten z powodu potężnej burzy, jaka wówczas wybuchła, musiał opuścić się na ziemię, by po niejakim czasie, załatwiwszy małe uszkodzenia, ruszyć w dalszą drogę. I wszystko odbyłoby się pomyślnie, gdyby nie wmięszanie się obecnego tam gen. André, który bez znajomości rzeczy począł wydawać rozkazy. Mechanik balonu, należącego do armii, musiał usłuchać kategorycznych rozporządzeń wyższej władzy, której zarządzenia okazały się tak zgubnemi, iż balon wyrwał się z rąk niewielkiej stosunkowo liczby żołnierzy i pomknął w kierunku północno zachodnim. W pościg za nim wysłano zaraz najszybsze okręty wojenne w nadziei, iż balon opadnie na morze. Tymczasem niesforny statek puścił się w zawody z wiatrem, nie zważając na wysłaną za sobą pogoń. Przelot jego spostrzeżono naprzód nad Londynem, a potem w Irlandyi, gdzie też „Patrie“ opadła na dół, wrzynając się głęboko w ziemię.

Działanie motoru jednak nie ustawało i „Patrie“ wlokła się przez kilkadziesiąt metrów po roli, wyorywując głęboką bruzdę. Jako ślad bytności „Patrie“ pozostało tylko kilka części mechanizmu. Sam balon zaś wzniósł się znowu w górę i poszybował w nieznaną stronę, tak iż można



Ruskie gwałty w parlamencie: Poseł dr. Leon Baczyński.

już z wszelką pewnością twierdzić, iż „Patrie“ została dla Francyi straconą. Rząd francuski przystąpił odrazu do budowy nowego balonu tego samego systemu, będzie więc można szkodę tę powetować. Nieskończenie jednak gorsza byłaby rzecz, gdyby „Patrie“ opadła na jakiem obcem terytoryum, wtedy bowiem owo mocarstwo posiadłoby tajemnicę francuskich sterowników powietrznych.

Ruskie gwałty w parlamencie.

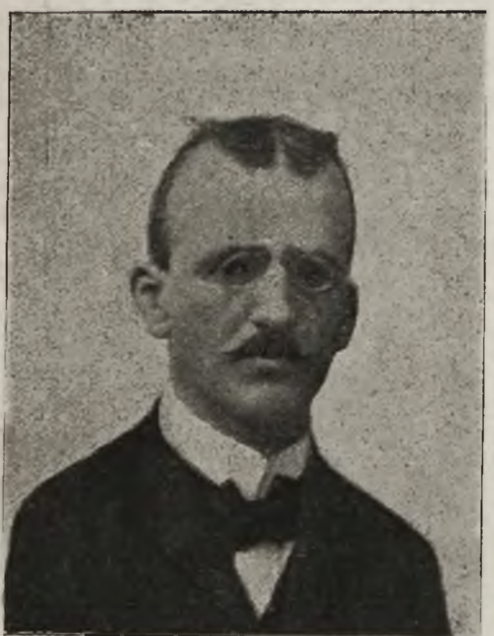
Na jednem z ostatnich posiedzeń izby posłów w wiedeńskim parlamencie, zaszedł niesłychany w dziejach parlamentaryzmu gwałt, a dopuścił się go klub posłów ukraińskich. Izba posłów w Wiedniu



Ostatni zamach w Moskwie: Trupy koni, zabitych podczas zamachu na generał-gubernatora Herschelmana.

była nieraz świadkiem gorszących zajść, padały tam niejednokrotnie obelgi, przychodziło do czynnych zniewag, ale wszystko to miało tło inne, rozgrywało się wśród największego roznamiętnienia i nie pochodziło z premedytacyi. Inaczej stało się w zeszły poniedziałek. Już przed posiedzeniem bowiem, zapowiadali posłowie ruscy, że wywołają awanturę a cały jej przebieg wykazał, iż rzecz była przewidzianą i z rozmysłem urządzoną.

Zaraz na wstępie posiedzenia zażądali posłowie ruscy, zebrani w niezwykle licznym komplecie, dosłownego i niezwłocznego odczytania interpelacyi



Ruskie gwałty w parlamencie: Zraniony przez Baczyńskiego poseł dr. Benkowicz.

ich, zgłoszonych z powodu zajść na uniwersytecie we Lwowie. Kiedy prezydent Weisskirchner odmówił temu żądaniu, oświadczając, iż interpelacye będą odczytane na końcu posiedzenia i udzielił głosu p. Finkowi, członkowie klubu ruskiego rzucili się do swych ław, powydobywali przyniesione ze sobą fujarki i gwizdawki, t. zw. „huculskie sopiłki“ i rozpoczęli przeraźliwy „koncert“. Część posłów wygrywała na piszczałkach i świstawkach, część zaś bębniła i waliła z całą siłą w pulty. Gwałtowna awantura ruska wywołała w całej Izbie powszechne oburzenie. Poważni posłowie otoczyli przemawiającego p. Finka, oklaskując jego wywody, a równocześnie wzywając posłów ruskich do spokoju. Widząc, że samym hałasem do niczego nie doprowadzą, porwali się Rusini do „czynu“. Jeden z nich, poseł Baczyński, wyrwał pult, przeszło na cal gruby i bił nim tak długo, aż drzewo pękło na troje. Wówczas porwał p. Baczyński kawał odłamanej deski, długi na jakie pół metra, i silnym rozmachem rzucił go ku prezydentowi. Deska przeleciała tuż obok głowy krakowskiego posła p. Zieleniewskiego, zadrasnęła lekko jednego z posłów chorwackich i z całej siły ugodziła w skroń słoweńskiego posła dr. Benkowicza. Poseł Benkowicz zachwiał się i zemdlony upadł na podłogę. Bezprzytomnego, bladego jak trup i ociekającego krwią wynieśli posłowie-lekarze do jednego z przyległych pokoi, gdzie udzielili mu niezwłocznie pomocy i przyprowadzili do przytomności.

W Izbie tymczasem powstał niebywały hałas. P. Trylowski, chcąc widocznie zakasować „bohaterski“ czyn swego przyjaciela politycznego, chwycił za stołek stenografa i chciał go unieść w górę. Przeszkodzili jednak temu inni posłowie. Równocześnie oburzeni niesłychanym postępkiem hajdamaków w parlamencie posłowie, rzucili się ku ławom ruskim i głośno piętnowali dziki, brutalny gwałt. „Bohatera“ Baczyńskiego zmuszono do opuszczenia sali i przeproszenia zranionego posła dr Benkowicza, nadto prezes klubu ruskiego, p. Romańczuk złożył deklaracyę, wyrażającą ubolewanie z powodu zajścia.

Awanturą poniedziałkową zdyskredytowali posłowie ruscy do reszty swą politykę i złożyli nowy dowód swej dzikości i zupełnego braku kultury. Będzie też ona doskonałym komentarzem do wyjaśnienia stosunków polsko-ruskich w Galicyi rzeczą krwawić już i tak aż nazbyt krwawą ranę“.

Romanse króla w ustroniu.

Z Brukseli nadeszła wreszcie dawno spodziewana wiadomość, iż w sferach rządowych powstał bardzo poważny zamiar ustanowienia regencyi, zachodzą bowiem pewne wątpliwości co do stanu umysłu króla Leopolda. Król belgijski od chwili nawiązania stosunku z ostatnią swą kochanką, nie tylko iż porzucił zupełnie rodzinę swoją, ale nawet okazuje wprost nienawiść do własnych córek, które chce wydziedziczyć. Nic dziwnego też, że rozmarzony monarcha spotyka się w ojczyźnie swej z powszechnem lekceważeniem i że w parlamencie belgijskim poseł Vandervelde, krytykując prywatne życie króla, nazwał go „włóczęgą w koronie“. Minister skarbu nie mógł nic innego na tę uwagę odpowiedzieć, jak tylko wspomnieć, „iż o tak smutnej rzeczy, jeżeli to nie jest koniecznem, nie powinno się mówić, okrutną bowiem jest

[see above: "rzeczą krwawić już i tak aż nazbyt krwawą ranę“.]

Bo bolesną istotnie raną dla narodu belgijskiego jest fakt, iż sędziwy, osiwiały król, zamiast zajmować się sprawami rządu, spędza całe tygodnie w towarzystwie swej kochanki, córki portyera, obecnie Ivonny bar. Vaughan, zamieszkującej wspaniały pałac w Lormay obok Paryża.

Pałac ten, arcydzieło sztuki architektonicznej, położony w zacisznym parku, gdzie prastare drzewa rzucają miłe cienie, ofiarował król Leopold w podarku swej kochanicy; wychowana w ubogim



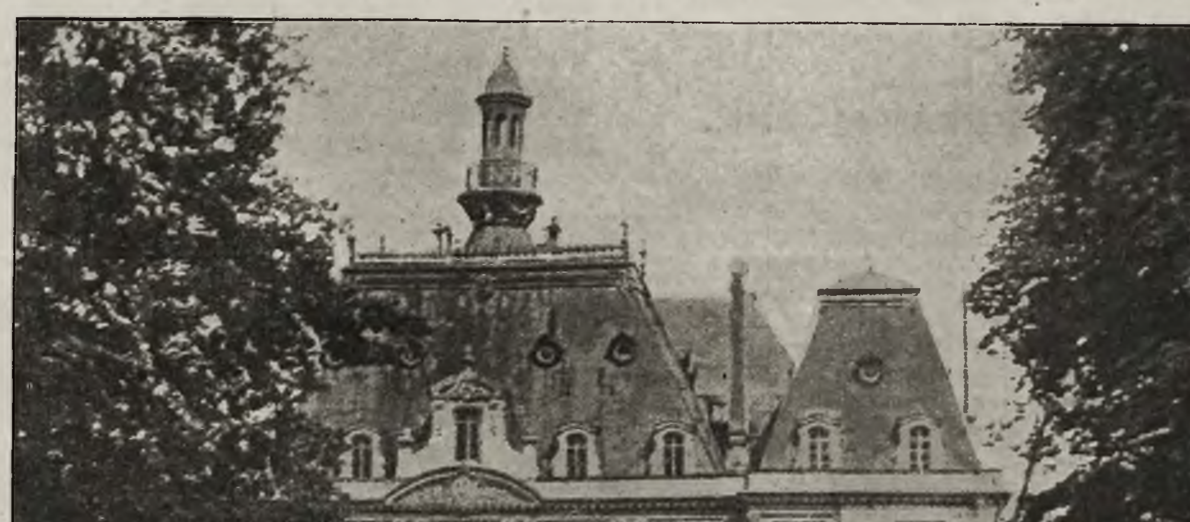
Ruskie gwałty w parlamencie: Poseł dr. C. Trylowski

domu swych rodziców, przywykła jednak młoda ta kobieta do zbytków i wygód i nie czuje się obcą wśród wspaniałych komnat bogatego pałacu.

Rozrzutność króla Leopolda wobec głośnej awanturnicy jest tem bardziej kompromitującą, iż najbogatszy ten władca okazuje dziwne skąpstwo i zupełny brak serca swoim dzieciom, których stosunki finansowe są bardzo smutne i stanowią przedmiot nietylko plotek ale i rozpraw sądowych. To też sławy króla Leopolda nie mogą naprawić nawet hojne dotacye i ofiary na cele naukowe i artystyczne. Poczucie moralności bowiem wśród poddanych rozamorowanego starca jest bardzo wysokie i brzydzi się nietaktownymi postępkami swego władcy.



Fot. K. Seebald, Wiedeń.
Romanse króla w ustroniu: Baronowa Ivonne Vaughan.



Fot. K. Seebald, Wiedeń.
Romanse króla w ustroniu: Pałac w Lormay, koło Paryża, własność kochanki króla Leopolda II.

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

4

— Naszych przekonań — uśmiechnął się — i najlepiej będzie, gdy zejdziemy się na wspólną naradę.

— Dobrze... ale gdzie?

— Gdzie? — namyślił się — u mnie niemożna, mieszkam przy rodzicach.

— I ja także — westchnęła.

— Wiem, że Kudzyński niema dobrego mieszkania, zresztą żonaty, ma dzieci... a o Berkholcu nic nie wiem.

— Jaka szkoda — mówiła po chwili — a u was w żaden sposób?

— Hm... widzicie, ojciec mój służy przy poczcie, ma odmienne przekonania. Zresztą ciasno u nas, trzy pokoiki i kuchnia, a nas pięcioro w domu. Możnaby ostatecznie gdzieś w restauracyi lub kawiarni, ale bylibyśmy skrępowani.

Janina po namyśle zdecydowała się użyć pokoju lokatora. Poprosi Floryana, on zrozumie przecież doniosłość zebrania i odstąpi swój pokój, a może i sam będzie obecny...

— Kiedy możecie przyjść z nimi w umówione miejsce?

— Kiedy?... Chociażby jutro.

— Zatem jutro zawiadomię was w biurze, czy pokój będzie wolny — powiedziała Janina.

— Czy u was?

— Tak jest... mamy lokatora i przypuszczam, że on odstąpi swego pokoju na nasze zebranie.

— Hm... czy znacie go? Pewny?

— Ależ on zapalony socyalista i bardzo dzielny człowiek.

— Któż on taki? — a widząc jej zniecierpliwienie z powodu stawianych pytań, usprawiedliwiał się — bo uważacie, was mało znam, ale bądźcobądź jesteście z kolei... a obcy będzie nas krępował, chociażby tylko tem, że wie o naszej schadzce.

— No... przecież to nie jest zbrodnią — uśmiechnęła się — że czterech kolejarzy zeszło się razem.

— Zbrodnią nie jest, ale proszę was usilnie o zachowanie tajemnicy do pewnego czasu.

— Nic was nie rozumiem — zdziwiła się — po co te sekreta? tajemnice? Żyjemy w państwie konstytucyjnem i naradzać się nam wolno. Sądziłam nawet, że byłoby dobrze poprosić tego lokatora na posiedzenie.

— Jego?... Czemże się on zajmuje?

— Jest na uniwersytecie, a żyje tylko dla idei.

— Nazwisko jego?

— Florjan Wapieński.

— Wapieński?... Słyszałem o nim, miewa odczyty dla robotników i przemawiał na zgromadzeniu.

— Tak jest — mówiła ucieszona — to bardzo dzielny człowiek... no i praktyczny. I dlatego radziłabym jego zaprosić.

— Jeśli koniecznie chcecie... niech przyjdzie.

— Nie pożałujecie tego, on dobry organizator...

— Dla robotników — uśmiechnął się — a co innego urzędnicy.

Po rozstaniu się z nim Janina jeszcze tego samego wieczoru rozmówiła się z Wapieńskim, który z wielką uprzejmością ofiarował swój pokój, tem bardziej, że jego współlokator wyjechał na czas dłuższy.

Nazajutrz ucieszona Janina uwiadomiła Stańskiego, że pokój jest do rozporządzenia, a Stański w imieniu swojem i swych kolegów biurowych Kudzyńskiego i Berkholca przyrzekł przyjść wieczorem na schadzkę. W oznaczonej godzinie przyszli równocześnie wszyscy trzej, a oczekująca Janina wprowadziła ich do pokoju, umeblowanego bardzo skromnie. Stały w nim dwa łóżka, stolik pod oknem, trzy krzesła, szafa i umywalka. Kudzyński, liczący około lat czterdziestu, łysawy brunet z czarnym wąsem, bystro obejrzał mieszkanie, pokiwał głową z lekkiem politowaniem, położył kapelusz na półce zawalonej książkami i z westchnieniem usiadł na krześle mówiąc:

— Więc tu mieszka ów towarzysz Floryan, o którym tyle słyszałem, no, no...

— Ten niedba o wygodę — zaśmiał się Berkholc, kręcąc krótką, ciemną brodę.

I Stański z pewnem rozczarowaniem spojrzał na pokój, a zwracając się do Janiny spytał:

— Czy będzie Wapieński?

— Będzie, uprzedził jednak, że może się spóźnić.

— Przyjdzie, nie przyjdzie — odezwał się Berkholc — zaczynajmy panowie. Stański nas zaprosił tutaj, on ma głos — uśmiechnął się, patrząc na zaniepokojoną twarz Stańskiego, który z pewnem ociąganiem zaczął:

— Wprawdzie nie ja dałem inicyatywę... ale skoro chcecie, sprawę wyjaśnię. Idzie o to, aby zapobiedz nadużyciom przełożonych i wyzyskowi, któremu podlegamy wszyscy. W szczegóły nie potrzebuję się wdawać, bo każdy z nas na swojej skórze doświadczył błogich skutków tej gospodarki produkcyjnej. Zaprosiłem was, aby wspólnie naradzić się nad sposobami obrony. Mojem zdaniem rzecz pierwsza i najważniejsza jest skupienie wszystkich urzędników w imię solidarności fachowej — umilkł i spojrzał na zebranych.

— Wpierw należy ustalić zasadę, na mocy której wezwie się urzędników kolejowych — odezwał się Kudzyński.

— Zasadą jest obrona — zaśmiał się Berkholc — przeciw protekcyi w awansach, urlopach, zapomogach, w pracy... Kto posiada protekcyę, ten idzie szybko w górę, dostaje najlepsze miejsce, traktują go delikatnie i z uwagą, uwzględniają jego prośby...

— Wszystko to wiemy wszyscy — rzekł zniecierpliwiony Kudzyński — i nasze zebranie niema celu, jeśli o tem mamy mówić.

— A więc podajcie wasz projekt — zawołał Berkholc.

— Mój projekt? — namyślał się przez chwilę — otóż należy nam rozwinąć agitacyę, pozyskać zwolenników, a gdy zbierzemy ich kilkudziesięciu, wówczas przystąpić do działania.

— Obawiam się — odezwała się Janina — że droga przez was wskazana nie doprowadzi do celu... Mówiłam w mojem biurze, ale odrzucono z miejsca myśl opozycyi.

— Jeśli nie zgadzacie się na mój plan rzekł kwaśno Kudzyński — postawcie lepszy.

— A gdyby wydać odezwę — przemówił Stański — ona poruszy sprawę, zacznie się dyskusya...

— Co tam agitacya, co tam odezwa — zawołał Berkholc — ja radzę napisanie memoryału do ministeryum kolei, z wymienieniem wszystkich krzywd naszych. Ten memoryał niech podpiszą wszyscy urzędnicy i podurzędnicy, a on zrobi swoje. Czy nie tak?

— Nie zgadzam się na memoryał — rzekł Stański — on chybi celu.

— I ja jestem tego zdania — nachmurzył się Kudzyński — ministeryum odeśle skargę do dyrekcyi, a ta odpisze, że wszystko jest dobrze i zgodne z prawem, a podpisanych pociągnie do odpowiedzialności... Zresztą kto podpisze ów memoryał? kto będzie ryzykował? Wasz plan Berkholc jest zły.

— I wasz nie lepszy — mruknął zły.

Janina słuchając tych sporów, czuła konieczność jasnego postawienia kwestyi, zespolenia ich przez wskazanie drogi wiodącej do celu, nieumiała jednak znaleść ani słów odpowiednich, ani myśli przewodniej. Będąc sama ze sobą, umiała znaleść wszystkie przyczyny zmuszające do wzruszenia, wypowiadała ognistą mowę, która przekonywała najoporniejszych i odnosiła tryumf zupełny... Lecz gdy znalazła się wobec trzech ludzi, napróżno szukała argumentów, napróżno wysilała się na zrobienie planu, na wypowiedzenie swych myśli, poczuła się skrępowaną, bezsilną i z obawą patrzyła, że to zgromadzenie, na które tak liczyła, nie poweźmie żadnego postanowienia i rozejdzie się w niezgodzie. Istotnie Kudzyński z miną znudzoną spojrzał na zegarek, a Stański szukał oczyma swego kapelusza. Wśród chwilowego milczenia odezwały się w przyległym pokoju szybkie kroki, i do pokoju raczej wpadł, aniżeli wszedł Wapieński. Z twarzą jasną, uśmiechniętą rozejrzał się:

— Witajcie -- kolejno przedstawił się trzem kolejarzom i spytał tonem wesołym:

— Cóż uradziliście? Jaki plan działania? Nie jestem wprawdzie zawodowym kolejarzem, ale przez pół roku byłem przy kolei w Warszawie, zanim uciekłem z fortu.

Jego swoboda, pewność siebie i wesołość, udzieliły się zebranym, zwłaszcza Janina nabrała otuchy i odpowiedziała:

— Żadnego planu nie powzięliśmy, radziliśmy tylko nad sposobem zgromadzenia większej ilości urzędników.

— I cóż? — spytał, patrząc po obecnych.

— Radziłem rozwinięcie agitacyi — przemówił Kudzyński — ale koledzy byli przeciwni. Kolega Stański proponował odezwę, a kolega Berkholc memoryał do ministeryum.

— Jak widzę nie spóźniłem się — uśmiechnął się — dopiero jesteśmy na początku początków. Czy mówiliście o celu zjednoczenia? — zwrócił się do Janiny.

— Nie miałam sposobności.

— Ależ cel jasny — zawołał Berkholc — idzie o usunięcie nadużyć i wyzysku.

— Bardzo dobrze — skinął głową Wapieński — a droga do celu?

— Właśnie o nią spieraliśmy się — mówił Berkholc — i były trzy propozycye.

— Rozumujmy ściśle towarzyszu... Agitacya, odezwa, memoryał to środki, a drogą jest zjednoczenie urzędników w organizacyi silnej i trwałej. Chcąc to osiągnąć, są dwa sposoby — albo w imię wspólnej idei, albo w imię interesu. Idea często zawodzi, bo na jej przyjęcie trzeba ludzi przygotować, a nawet w takim razie tylko wybrane jednostki, samo czoło stanie do walki. Natomiast interes skupia ludzi z łatwością i wezwanie zawsze znajdzie echo.

— Nie idzie o teorye — mruknął Berkholc — my ludzie praktyczni.

— Właśnie mówimy o praktycznych rzeczach — uśmiechnął się Wapieński — otóż kolejarze są zapracowani, zahukani i zostają pod obuchem tej myśli, że ich pracodawca, rząd czy towarzystwo akcyjne, jest wszechpotężne, a każde sprzeciwianie się surowo karane. Z tą psychologią musimy się liczyć. Gdybyśmy spytali kolejarza poszczególnego, co myśli o służbie swej, każdy ją gani i gotów ją rzucić, gdyby tylko miał pieniądze. Otóż dajmy mu pewność, że będą mieli pieniądze, utrzymanie, że mają podstawę niewzruszoną materyalną, wówczas przejdą łatwo do opozycyi i oprą się nadużyciom.

— No, tak — rzekł Kudzyński — to są wiadome rzeczy... Cóż dalej?

— Zatem w imię praktycznego interesu można ich skupić. Zdaje się, że macie kasę emerytalną...

— Nędzna, na życie nie starczy, a cóż dopiero wdowy i sieroty — zawołał Stański.

— Więc załóżmy kasę zapomogową i pożyczkową... albo też sklep kolejarski... i w imię interesu bezpośredniego, trzeba ściągnąć kolejarzy — mówił dalej Wapieński — a skoro się zejdą, zetkną się ze sobą, wówczas dopiero podnieść myśl samoobrony wobec nadużyć.

Janinie wydał się ten plan tak doskonały i skuteczny, że nie umiała się powstrzymać i zawołała:

— Wiedziałam, że wy Florjanie znajdziecie sposób. My nie mogliśmy się ani zgodzić, ani poradzić z tą sprawą — a widząc niedowierzające miny kolejarzy, starała się wytłómaczyć. To przecież jasne, że gdy się zbiorą, a poda się im projekt wspólnego działania, wspólnej obrony, to zrozumieją, że tylko w silnej organizacyi jest ich moc i siła.

Mężczyźni milczeli, czuli się do pewnego stopnia obrażeni nietylko tem, że pomysł kasy wyszedł od młodego człowieka, obcego, nie kolejarza, ale podrażnił ich ten zachwyt Janiny.

— No tak, zapewne... plan ten posiada swoje zalety — przemówił zwolna Kudzyński — i przypuściwszy, że zejdą się kolejarze, ktoś musi do nich przemówić, zachęcić, wytłómaczyć... ja niemam daru wymowy, ale może koledzy?...

— Ja także!... I ja! — dodali obaj.

— Sprobowałabym chętnie — odezwała się zarumieniona Janina — ale obawiam się, że raczej zaszkodzę sprawie, gdyż bardzo wątpię, czy potrafię mówić w licznem zgromadzeniu, a następnie czy zechcą mnie słuchać.

— No, już nie pani — uśmiechnął się Kudzyński — może pani narazić na śmieszność całą rzecz, a nawet zabić myśl opozycyi. Tu musi wystąpić ktoś poważny, ze stanowiskiem, tego posłuchają i będą się rachować.

— A czy znajdzie się taki? — spytał szyderczo Berkholc — któż zechce się narazić dyrekcyi?

— To prawda — westchnął Stański.

Florjan spojrzał na nich i dojrzał w wyrazie ich twarzy, dosłyszał w tonie mowy, że boją się przełożonych, że strach przed utratą miejsca zamyka im usta. Jedna tylko Janina była szczerą, ale zrozumiał, że jej głos nie znajdzie oddźwięku, że z nią nie będą się liczyli i po krótkiem milczeniu rzekł:

— Mojem zdaniem nie potrzeba być Demoste-

nesem lub Ciceronem, aby powiedzieć w prostych słowach swoją krzywdę... widocznie dobrze wam jest, a dla drobnych przykrości nie chcecie się narażać...

— Nam dobrze!?—zawołał z goryczą Kudzyński — pracujemy nad miarę, bez odpoczynku, narzucają nam pracę nadliczbową przez oszczędność, traktują jak niewolników, niewolno nam się o swoje upomnieć, ale czekać musimy zmiłowania i dobrego humoru. Awans jest dowolny, a co lepsze miejsce i płaca to biorą protegowani...

— Więc powiedzcie to głośno, otwarcie wobec waszych — zachęcał Florjan.

— Powiedzieć?... Panu łatwo to mówić, bo i co pana wiąże? — obejrzał się po pokoju — ale ja mam żonę, dzieci i już piętnasty rok służę... czy mogę ryzykować moją rodzinę?

— No, a wy? — zwrócił się do Stańskiego i Berkholca.

— Mnie nie posłuchają, jestem za młody i żyd — odpowiedział Berkholc—rzuconoby się na mnie jak na psa.

Stański przeszedł się po pokoju, zapalił papierosa i stanąwszy przed Florjanem rzekł:

— Zarzuciliście nam, że nie odczuwamy wyrządzonych krzywd i dlatego nie chcemy, czy nie umiemy przemówić... Otóż ja będę mówił.

Dwaj koledzy spojrzeli na niego z wielkiem zdziwieniem, a Janina rozpromieniona wyprostowała się i odetchnęła, jak gdyby pozbyła się ciężaru, gdyż wstyd jej było przed Florjanem, że tym trzem kolejarzom wybranym z licznego grona zabrakło odwagi.

Florjan spojrzał bacznie w oczy Stańskiego i po chwili rzekł spokojnym głosem:

— Widocznie kleszcze waszych dyrektorów są mocne, ale łamie się silniejsze. Aby jednak wasze narażenie miało dobry skutek i przyniosło korzyść trzeba przyszłych słuchaczy waszych do pewnego stopnia przygotować...

— Już ja to zrobię — zawołał Berkholc — jeśli tylko Stański zdecydował się przemówić, to naszą rzeczą szepnąć kolegom, że na zgromadzeniu będą inne wnioski prócz kasowych.

— Wiecie Stański — rzekł zwolna Kudzyński — radzę wam namyśleć się... zawsze to walka z dyrekcyą, i na razie może wam nic nie zrobią, ale z czasem odemszczą się... i wracam do swego, czy nie będzie lepiej i korzystniej wpierw rozwinąć agitacyę.

Lecz Stański, którego ambicyę mile połechtało ogólne, chociaż milczące uznanie, odpowiedział z drwiącym uśmiechem:

— Nie lubię szeptów tajemniczych, półsłówek, ciągłej ostrożności... dość tego, głowy mi nie urwą.

— Ale miejsce możecie stracić — mruknął Kudzyński.

— Świat nie kończy się na dyrekcyi kolejowej — zaśmiał się Berkholc — a wy dużo macie za piętnaście lat potulności!?

— Więc teraz może szczegółowo omówimy te punkta, które towarzysz Stański ma poruszyć w swej mowie — przemówił Florjan.

Ta kontrola niepodobała się Stańskiemu, odpowiedział więc suchym tonem:

— Jak mam mówić, to już zostawcie mnie samemu... chciałbym tylko posłuchać, jak sformułować ostateczny wniosek.

— Jak?! — zaśmiał się Berkholc — to bardzo proste — co do kasy, niech rząd, przedsiębiorca interesu, da nam sumę równającą się naszym wkładom. Co do awansu, niech on będzie mechaniczny, stosownie do lat służby. To masz już dwa wnioski, czy nie tak?

— A nie zapomnij o przeciążeniu pracą i urlopach — dodał Kudzyński.

— Czy sądzicie, że można zapomnieć o tem, co dolega — uśmiechnął się Stański, a zwracając się do Florjana spytał:

— A wy co myślicie?

— Zdaje mi się, że sprawy, o których wspominacie, nie należą do ogólnego zgromadzenia, nad niemi będzie obradowała komisya, czy wydział, a wy towarzyszu Stański postawcie tylko wniosek, aby zgromadzeni wybrali stałą komisyę do zbadania położenia kolejarzy tak pod względem materyalnym, jak i moralnym. Już sam wybór komisyi zwiąże urzędników, a uchwała komisyi będzie nosiła cechę ogólnych żądań.

Stański z wielką uwagą przysłuchiwał się, stopniowo twarz jego rozjaśniła się i zawołał:

— Wasza rada jest dobra i dziękuję wam.

Berkholc i Kudzyński spochmurnieli, uczuli bowiem pewną zazdrość w stosunku do Stańskiego, że on tanim kosztem, bez narażenia się wypłynie jako wnioskodawca i inicyator. Co innego bowiem wdawać się w krytykę działalności przełożonych, a inna rzecz postawienie wniosku o wybór komisyi.

— Wiesz Stański — przemówił Berkholc — mojem zdaniem projekt towarzysza Florjana będzie wprowadzeniem w błąd zebranych kolejarzy. Oni nie zrozumieją celu komisyi i kto wie, kogo wybiorą. Należałoby koniecznie wyświetlić cel.

Kudzyński z uśmiechem ironicznym skinął gło-



»...Otóż kolejarze zapracowani, zahukani i zostają pod obuchem...«

wą na znak potwierdzenia tych słów. Stański uczuł się stropiony i spojrzał na Florjana, który chmurny słuchał i rzekł dość porywczo:

— Wnioskodawca zostaje zawsze wybrany do komisyi, którą proponuje, będzie więc dosyć czasu i sposobności do wyświetlenia sprawy.

— No tak, zapewne, ale inny byłby efekt przemówienia — upierał się Berkholc.

— Nie idzie nam o efekt — odezwała się Janina — ale o samą sprawę. Zresztą macie przecież zupełną swobodę rozwinąć na zgromadzeniu cel i znaczenie komisyi — kończyła z ironicznym uśmiechem.

— To wam zostawiam — zaśmiał się Berkholc, a patrząc na Stańskiego dodał: — zostaję przy swojem zdaniu, że publiczne napiętnowanie gospodarki kolejowej, byłoby najwłaściwszem postąpieniem.

Wapieński, widząc rozdrażnienie Stańskiego i możliwość kłótni, zawołał tonem pojednawczym:

— Przyjdzie czas na publiczną krytykę i wówczas towarzysz Stański wystąpi z mową.

— Bez żadnej wątpliwości — dodał Stański.

Kudzyński słuchał obojętnie, wreszcie rzekł znudzony:

— Na czemże stanęło?

— Zwołamy zgromadzenie kolejarzy — przemówił Stański — czy to pod pozorem kasy, czy sklepu i na zebraniu postawię wniosek o utworzenie komisyi.

— To już dobrze — wstał z krzesła Kudzyński i dodał drwiąco: — z wielkiej chmury mały deszcz.

— Przyjdzie czas i na pioruny — zaśmiała się Janina.

— Nie wiem z czego wy tacy zadowoleni — rzekł Berkholc wzruszając ramionami — bo mówił mi Wilmański, jak surowo karciliście dyrekcyę...

— I dziś nie wyprę się słów moich — odpowiedziała zaczerwieniona.

— Tak... to widać z waszej zgody na taki łagodny wniosek — zaśmiał się ironicznie — no, ale idę już. Podał kolejno rękę wszystkim i zwracając się do Stańskiego, spytał:

— Czy zostajesz?

— Na chwilę.

Po ich odejściu, Stański czując, że dwaj kolejarze nie zrobili dodatniego wrażenia, a chcąc usprawiedliwić ich zaproszenie, zwrócił się do Florjana:

— Ci dwaj są dobrzy koledzy, uczynni... tylko zanadto tkwią w urzędzie.

— W każdym razie nie liczcie dużo na ich pomoc — uśmiechnął się Florjan — a kogoś musicie mieć.

— Muszę? — zdziwił się.

— Naturalnie. Kto inny niech poda projekt kasy zapomogowej, a wy postawcie wasz wniosek oddzielnie.

— Hm... zapewne, że byłoby lepiej — namyślał się.

— Projekt podobnych kas i ich statuty doręczę wam w tych dniach.

— Dziękuję... dajcie koleżance Traweckiej... Poszukam kogoś, aby wniósł tę sprawę.

— Czy jednak znajdziecie? — wątpiła Janina — bo ani Kudzyński, ani Berkholc nie zechcą.

— Znajdę... A teraz powiedzcie mi, co lepiej, czy wydać odezwę bezimienną, czy też rozesłać arkusz z żądaniem podpisów.

— Do podpisów dużo ludzi ma wstręt, wydaje się im to czemś w rodzaju cyrografu — uśmiechnął się Florjan. Wydrukujcie odezwę, oznaczcie czas, miejsce zebrania i czekajcie końca. Naturalnie byłoby bardzo pożądanem, aby odezwę podpisał jakiś komitet... a czy wam się uda?

— Komitet?... Zastanowię się nad tem. Znam kilku dobrych ludzi.

— Wolałbym ambitnych — uśmiechnął się Florjan, odrzucając ręką kosmyk włosów, spadający mu na środek czoła.

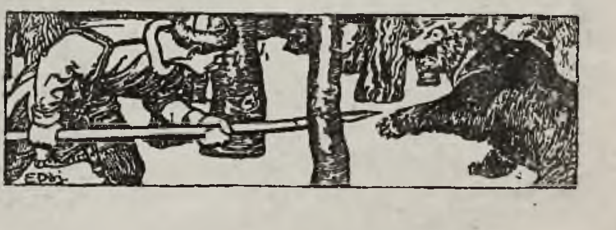
— I takich nie brak u nas — zaśmiał się Stański — usłucham was i bywajcie zdrowi — rzekł, podając rękę — a wy koleżanko musicie mi dostarczyć statutu kasy.

— Wiem.

IV.

Janina ożywiona najlepszemi nadziejami, pokrzepiona poczuciem, że nie jest już bezczynnym świadkiem, lecz bierze czynny udział w walce o usunięcie wyzysku, czuła się silną, dzielną i w oczekiwaniu tej chwili, gdy w biurze jej rozejdzie się wiadomość o zwołaniu zgromadzenia, pracowała chętnie i nie nużyła jej robota. Stańskiemu zaraz nazajutrz oddała wręczony jej przez Florjana statut kasy zaliczkowo-oszczędnościowej i usilnie prosiła o udzielenie jej dalszych wiadomości.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Zaślubiny w Grecyi.

Przed kilku dniami odbył się w Atenach obrzęd zaślubin księcia Jerzego, drugiego syna króla greckiego, z księżniczką Maryą, córką księcia Rolanda Bonapartego. W przeciwieństwie do przeważnej liczby małżeństw, zawieranych w domach panujących, w których rolę uczucia zastępują pertraktacye ambasadorów, związek ten jest szczęśliwem uwieńczeniem miłości, która już oddawna łączyła z sobą tę młodą parę.



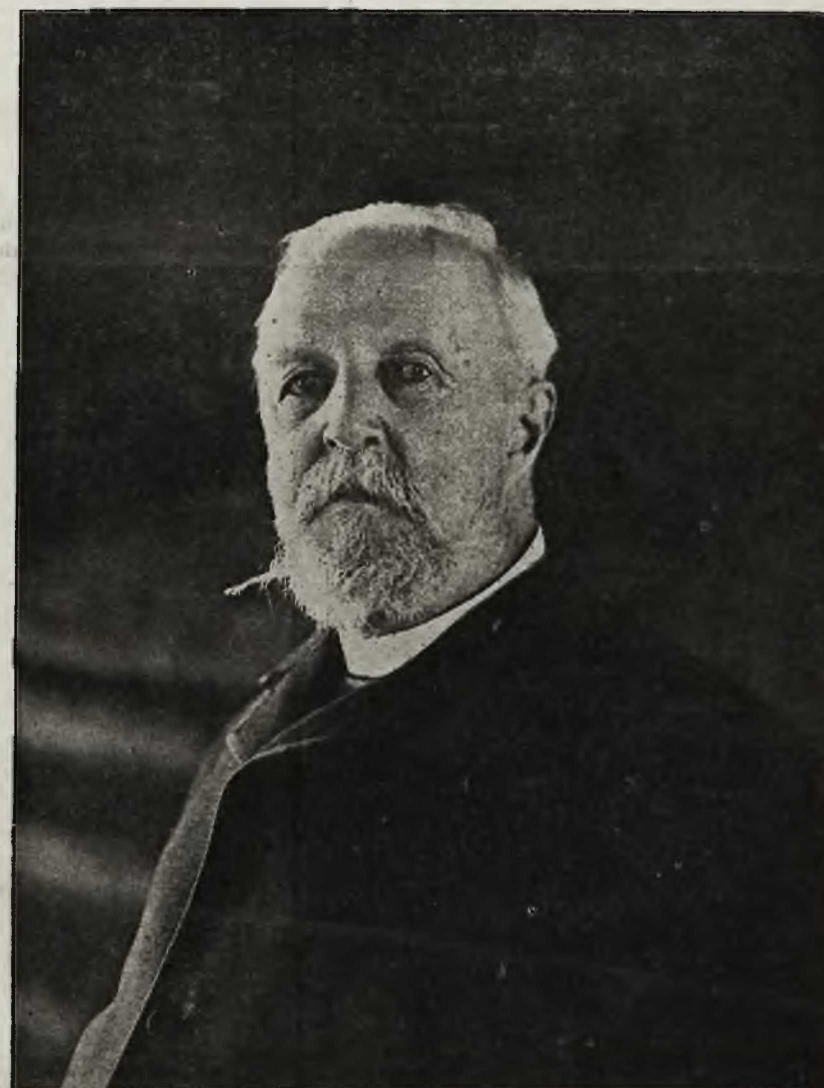
Zaślubiny w Grecyi: Książe Jerzy grecki z małżonką swą, księżniczką Maryą Bonaparte.

Dwudziestopięcioletnia księżniczka Marya, wysoka, smukła, o wielkich czarnych oczach i długich ciemnych włosach uznaną została za jedną z najpiękniejszych kobiet w Paryżu. Wychowana z pietyzmem przez babkę swoją i ojca, księcia Rolanda, znanego erudyta i uczonego, odznacza się niezwykłą dobrocią, której doświadczali zawsze ubodzy. Pan młody, wysoki blondyn o jasnych oczach, liczy już trzydzieści ośm lat. W czasie podróży swej do Japonii z byłym następcą tronu rosyjskim, a obecnym cesarzem Mikołajem, dzięki energii swej uchronił towarzysza swego od zamachu, jaki przygotował na niego pewien fanatyk japoński. Przez lat kilka książe Jerzy pełnił także obowiązki gubernatora jeneralnego na Krecie, na którym to urzędzie okazał niezwykłe zdolności dyplomatyczne.

Ślub państwa młodych początkowo miał się odbyć w kościele katolickim, papież jednak zażądał od księcia Jerzego, by przyszłe dzieci wychowywał w religii katolickiej. Książe nie mógł złożyć podobnego przyrzeczenia, należy bowiem do wschodniego wyznania, panującego w Grecyi, wobec czego ślubu udzielił metropolita w asystencyi całego synodu. Po powrocie z kościoła tłum ludu zapełnił plac przed pałacem i zgotował nowozaślubionym entuzyastyczną owacyę.

Z życia zmarłego króla.

Pomimo wielkiej miłości i czci, jakiej zmarły król Oskar II doznawał w ojczyźnie swojej, polityka jego była w ostatnich latach narażona na ciężkie zawody. Pierwszego niepowodzenia doznał przy wstąpieniu na tron, gdy parlament odmówił zatwierdzenia kosztów koronacyi, wskutek czego musiał je król pokryć z własnej szkatuły. Następnie „storting“ norweski zmniejszył listę cywilną króla o ośmdziesiąt tysięcy koron, apanaże zaś następcy tronu o pięćdziesiąt tysięcy, mimo jednak wszystkich tych nieprzyjaznych występów przedstawicieli ludu, królowi przez cały przeciąg panowania jego przyświecała jedna tylko zasada, iż nie naród jest dla monarchy, lecz monarcha dla narodu. Z biegiem też lat wywiązał się prawdziwie patryarchalny stosunek między królem Oskarem a ludnością kraju.



Z życia zmarłego króla: Król Oskar II w codziennym stroju cywilnym

Król bardzo często wychodził na spacery sam w cywilnym stroju, by przyglądać się, jak rzeczywiście wszystkie sfery ludności, nawet najubożsże, żyją, co myślą. Pewnego razu król, zawsze interesujący się gorąco szkolnictwem, wstąpił do jednej ze szkół wydziałowych i począł sam zadawać pytania. W czasie tego egzaminu zagadnął król uczenice, którego króla szwedzkiego uważają za największego. Wymieniły Gustawa Adolfa, Karola XII, a jedna z nich nazwała i Oskara II. Król rozba-



Z życia zmarłego króla: Król Oskar w otoczeniu swej rodziny

wiony uznaniem swej wielkości przez maluczkich, poprosił o wymienienie swych wielkich czynów. Zapytana jednak dziewczynka zarumieniła się, przez chwilę stała niema, aż wreszcie wśród łez wyszeptała: ja nie wiem o żadnym. Król uspokoił zawstydzoną dziewczynkę przyznaniem się, że i on nie wie również o żadnym swym wielkim czynie.

Wspaniałości duszy, jaką król okazywał nawet swym nieprzyjaciołom, doznał i Björnson. Jak wiadomo sławny poeta norweski występował gorąco przeciw unii ze Szwecyą, czem Oskar II czuł się osobiście dotkniętym. Mimo to zachował dla poety dawny szacunek. Gdy podczas pobytu króla w Chrystyanii stowarzyszenia śpiewackie urządziły mu serenadę, zwrócił się do nich król z prośbą, by zaśpiewali jedną z republikańskich pieśni Björnsona.

Ludność stolicy, przejęta wdzięcznością dla króla za oddanie w ten sposób czci narodowemu poecie, zgotowała monarsze serdeczną owacyę. Obecnie też, pomimo iż Oskar II przestał być królem Norwegii już od roku 1905, na wszystkich domach w Chrystyanii wywieszono czarne chorągwie.



Z życia zmarłego króla: Król Oskar w czasie ostatniej swej kuracyi w San Remo.

Zabójstwo „niekorowanego króla Macedonii“.

Najwybitniejszy przywódca powstania macedońskiego Borys Sarafow, który od szeregu lat prowadził walkę zaciętą z rządem tureckim o niepodległość swej ojczyzny, padł przed kilku dniami od skrytobójczej kuli swego politycznego przeciwnika.

Borys Sarafow, urodzony w 1872 r., jako syn nauczyciela z małej wioski, od młodości otoczony był atmosferą rewolucyjną. Dziadek jego i ojciec brali czynny udział w walkach narodowościowych, skutkiem czego byli nieraz więzieni, ostatecznie zaś zostali zesłani do Małej Azyi. Tymczasem młody Borys po ukończeniu gimnazyum w Salonice udał się do Sofii. Z powodu braku paszportu i pieniędzy, musiał odbyć całą drogę pieszo, przekradając się tajemnie przez granicę. W stolicy Bułgaryi spotkał się z ojcem i dziadkiem, którym udało się zemknąć z wygnania. Oni wpłynęli na przyszłego bohatera, by wstąpił do szkoły wojskowej, którą też z powodu często okazywanej niesubordynacyi z trudem ukończył. Gdy w Macedonii wybuchł ruch rewolucyjny, Borys Sarafow przyłączył się odrazu do powstańców. Pierwszy jego napad zbrojny na Turków przyniósł mu zwycięstwo i bogaty łup, powrót też jego do Sofii był jednym pochodem tryumfalnym, ludność witała go jako bohatera. Powołany do komitetu naczelnego, opracował plan postępowania, który wykonywał z niesłabnącą energią. Rząd turecki, ponosząc ciągle porażki, ofiarował za głowę Sarafowa, nagrodę 35 tysięcy koron, zdobyta jednak popularność broniła go od wszelkiego zamachu.

Niestety, zawistni towarzysze jego, którym nie na rękę było znaczenie Sarafowa rozpoczęli knować przeciw niemu, oskarżając go o rozmaite nadużycia. Sarafow oczyścił się z zarzucanego mu podejrzenia, a ludność z sali sądowej na rękach za-



Fot. »Kordyan«.

Zabójstwo »niekoronowanego króla Macedonii«: Borys Sarafow.



Nowa organizacya rękodzielników w Krakowie: Wydział Izby rękodzielniczej.

Aparatem redakcyjnym W. Lis

niosła go do mieszkania. Mimo to skryta walka nie ustawała przeciw władzy przywódcy powstania. Gdy Sarafow wraz z prezydentem wewnętrznej organizacyi macedońskiej Garwanowem rozmawiał u siebie w domu, zjawił się u niego Panica, należący do partyi jego przeciwnika i dwoma strzałami z rewolweru zabił na miejscu Sarafowa i jego towarzysza. Śmierć Sarafowa, którego powszechnie nazywano „niekoronowanym królem Macedonii“ wywarła w całej Bułgaryi niezwykłe wrażenie.

Zamieszki w Portugalii.

Interwiew dziennikarza paryskiego u Don Karlosa I, króla portugalskiego, wywołał w całym świecie politycznym niezwykłe wrażenie, największe zaś w samej Portugalii. Wiadomość zaczerpnięta z audyencyi u króla brzmiała o tyle niepomyślnie, iż Don Carlos postanowił nie zmieniać swego dotychczasowego postępowania, wskutek czego spodziewano się wybuchu nowych antidynastycznych manifestacyi. W celu przyjrzenia się im, a zarazem wysondowania opinii publicznej i zbadania istotnego położenia kraju, wyjechał do Lizbony inny dziennikarz paryski. Po informacyę udał się wprost do prezydenta ministrów, dyktatora Joao Franco, który zawyrokował, iż w kraju panuje najzupełniejszy spokój, ludność nie myśli o żadnej rewolucyi, politycy tylko i dziennikarze prowadzą walkę zaciętą na cierpliwych szpaltach gazet. Ta pewność dyktatora wydała się cokolwiek podejrzaną paryskiemu dziennikarzowi, który z tej wizyty udał się na inną, nie mniej interesującą, a mianowicie do przywódcy opozycyi. Członek rady królewskiej, były prezydent senatu, dyrektor banku państwowego José da Cunha, przedstawił wewnętrzne położenie Portugalii we wręcz odmiennem świetle.

Ten siedmdziesięciopięcioletni starzec, były nauczyciel obecnego króla, z energią młodzieńczą wyrzekł, iż obecnie już żaden kompromis z rządem nie jest możliwy, a gdy lud raz wyjdzie na ulicę, on, siwy starzec, nie zawaha się stanąć na czele z karabinem w ręku. Dwie te sprzeczne informacye znajdują wytłómaczenie tylko w skrajnych zapatrywaniach obydwu polityków. Istotna prawda leży jak zwykle, po środku, to znaczy, iż w Portugalii niema ani spokoju, ani też rewolucyi.



Zamieszki w Portugalii: Dyktator Franco przy pracy, w towarzystwie Ornellas'a, ministra marynarki i kolonii.



Modne kradzieże: Skradzione arcydzieło Van Dycka »Zdjęcie z krzyża«, wartości przeszło pół miliona koron.

Nowa organizacya rękodzielników w Krakowie.

Doniosłego na przyszłość dzieła dokonało w ciągu kilku ostatnich miesięcy grono rękodzielników krakowskich. Oto połączyli oni w jedną silną organizacyę wszystkie istniejące w Krakowie a dotąd luzem chodzące cechy, a związek ten — spodziewać się należy — przyczyni się w dużej mierze do podniesienia naszego mieszczaństwa, do rozwoju rękodzieła i zapewnienia mu tego stano-



Aparatem redakcyjnym W. Lis

Nowa organizacya rękodzielników w Krakowie: Grono inicyatorów założenia Izby rękodzielników.

wiska jakie mu się oddawna, chyba całkiem słusznie należy.

Potrzeba takiej organizacyi dawała się odczuć już od dawna. Zwłaszcza dziś, w okresie tak powszechnych dążności kooperacyjnych, gdy nadto całe społeczeństwo podniosło z zapałem niezwykłym hasło uprzemysłowienia kraju i bojkotu wyrobów obcego przemysłu, zwłaszcza dziś utworzenie takiego związku było wskazanem, było wprost koniecznem. Zadaniem bowiem nowopowstałej Izby stowarzyszeń rękodzielniczych i przemysłowych w Krakowie, będzie nietylko solidarna działalność stowarzyszeń związkowych w obronie własnych interesów, ale i czuwanie nad podniesieniem rękodzieł, nad rozszerzeniem fachowego wykształcenia



Aparatem red. W. Lis.

Nowa organizacya rękodzielników w Krakowie: Grupa uczestników uroczystości poświęcenia lokalu Izby rękodzielniczej na Kotłowem. Namiestnik hr. Potocki (1); marszałek hr. Badeni (2); prezydent dr. Leo (3); delegat Fedorowicz (4); członek Wydziału kraj. poseł dr. Jahl (5); prezydent Izby handlowo-przemysłowej Dattner (6).

młodzieży rękodzielniczej, ułatwianie kredytu, popieranie zbytu wytworów, wreszcie pośredniczenie w stosunkach z władzami oraz publicznością.

Dzięki życzliwości władz krajowych statuty związku zostały w krótkim czasie zatwierdzone, tak iż w ubiegłą niedzielę mogło się odbyć uroczyste poświęcenie i otwarcie lokalu Izby rękodzielniczej. O życzliwości władz krajowych dla nowej organizacyi rękodzielników świadczył też wymownie udział w uroczystości niedzielnej nietylko przedstawicieli miejscowych urzędów, ale i najwyższych dygnitarzy kraju. Przybyli bowiem na poświęcenie Izby rękodzielniczej w Krakowie namiestnik kraju hr. Potocki, marszałek St. hr. Badeni, członek Wydziału krajowego dr. Jahl, a dalej grono posłów krakowskich do rady państwa i sejmu, poseł dr. German, prezydent miasta dr. Leo, delegat namiestnika i kierownik starostwa krakowskiego p. Fedorowicz, starosta Podgórza hr. Starzeński, burmistrz Podgórza poseł Maryewski, oraz delegaci wielu stowarzyszeń i instytucyi.

Uroczystość rozpoczęła ceremonia religijna poświęcenia, której dokonał proboszcz parafii św. Mikołaja ks. dr. Rychlak; on też serdecznemi słowy pobłogosławił nowej instytucyi i życzył jej pięknego rozwoju. Następnie prezes Izby i jeden z inicyatorów jej zawiązania p. radca Kosobucki podziękował przybyłym gościom za ich współudział w uroczystości, a potem przedstawił w wymownych słowach cele i znaczenie nowej organizacyi. Przemawiali następnie namiestnik hr. Potocki, marszałek hr. Badeni, prezydent miasta dr. Leo i prezydent Izby handlowo-przemysłowej p. Dattner.

Modne kradzieże.

Sfery złodziejskie, które dotychczas nie uznawały poza obrębem swych organizacyi żadnych reguł ani praw, poddały się w ostatnich czasach pod kierownictwo mody, jedynej władczyni całego świata. Ta zmiana taktyki złodziejskiej wyszła na dobre nieprzyjaciołom cudzej własności, wskazała im bowiem nowy teren operacyjny: przybytki sztuki z niezmiernemi bogactwami. Potworzyły się też dla ich eksploatacyi specyalne agendy złodziejskie, mające na celu okradanie muzeów, galeryj i kościołów. Skutkiem tego w ostatnich czasach rozchodzą się częstsze wieści o kradzieżach arcydzieł sztuki, przedstawiających niezwykłą wartość. Największe zastosowanie znalazła nowa moda we Włoszech, które przedstawiają pod tym względem prawdziwe kopalnie. Potem przeniosła się do Francyi, wytwarzając tam całą spółkę Thomasów, okradających kościoły i klasztory.

Niedawno skradziono z muzeum w Amiens kilka obrazów i numizmatów wartości trzystu tysięcy franków. Ponieważ drzwi muzeum zaopatrzone były w sygnałowe dzwonki, złodzieje, nie ufając oknom, dostali się do wnętrza przez dach. Ostatnią znaczniejszą kradzież popełniono w Belgii, gdzie z kościoła Panny Maryi w Countrai skradziono arcydzieło Van Dycka „Zdjęcie z krzyża“. Z powodu odnawiania kościoła znajdował się w murze otwór zabity tylko deskami; tą drogą dostali się w nocy złodzieje do środka, obraz wycięli z ram i jak wskazują pewne poszlaki, wywieźli go na samochodzie za granicę. „Zdjęcie z krzyża“, znajdujące się w tym kościele już od r. 1861, przedstawia wartość przeszło pół miliona koron.



Resztki balonu »Patrie«: Odłamek motoru balonowego.

Andrzej Marek.

W warszawskim świecie literackim od kilku lat zwraca na siebie uwagę pewien młody, bardzo zdolny izraelita, który sam wyuczył się po polsku, choć nie znał tego języka do czternastego roku życia i włada nim obecnie doskonale.

P. Andrzej Marek — tak brzmi nazwisko tego literata — złożył już tem samem dowód dużych zdolności i pracowitości, wiadomo bowiem, że język polski jest niezmiernie trudny do wyuczenia się. W ciężkiem przedsięwzięciu pomagało mu nie mało szczere zamiłowanie do literatury polskiej, zwłaszcza dramatycznej.

Opanowawszy dostatecznie język, spróbował p. Marek sił swoich na polu literackiem i napisał kilka utworów dramatycznych; popularne te sztuki, osnute na tle życia żydowskiego, wystawiono w kilku warszawskich teatrach. Największe powodzenie zdobyły sztuki: Pieśniarze, Chassydzi, Lubrowicz, Wieczna bajka. W najbliższym czasie grać będą najnowszy jego utwór sceniczny, pt. „Królestwo krzywdy“, rzecz — zdaniem tych, który się z nią mieli sposobność już zapoznać.— bardzo dobrą i pełną zalet.

P. Marek cieszy się wśród grona kolegów i znajomych wielką sympatyą z powodu zalet umysłu i charakteru.



Fot. Seebald, Kraków.

Nowa organizacya rękodzielników w Krakowie: Prezydyum Wydziału Izby rękodzielniczej: Skarbnik p. Jarra (1); sekretarz p. Werner (2); prezes radca Kosobucki (3).



Resztki balonu »Patrie«: Kawałek steru, oderwanego od balonu.

NIEWINNIE POSĄDZONY.

Powieść według aktów sądowych. Tłómaczył Felicyan Dulski.

2 (Ciąg dalszy).

Wolfgang patrzał znowu ku szczytom skały, ale i teraz rusałki nie zobaczył, więc z biciem serca zawołał:

— Nie mogę sobie nic szczęśliwego życzyć ponadto, abym cię mógł zobaczyć urocza rusałko. Jeżeli mnie chcesz uszczęśliwić — zejdź ku mnie, abym się twym widokiem zachwycał.

— Tylko temu sprzyja szczęście, kto umie milczeć.

— Aby takie szczęście pozyskać, będę milczał do grobu — zawołał w największem uniesieniu.

Zaledwie to powiedział, na szczycie skały wychyliła się z zieleni drzew biała, urocza postać i stanęła tuż nad przepaścią. Przy oświetleniu księżyca wydała się istotnie jakiemś nieziemskiem zjawiskiem. Doktor zachwycił się czarem tego widoku, ale też spostrzegł straszne niebezpieczeństwo grożące Ellinorze. Najmniejsze poruszenie, nieostrożne pochylenie się, mogłoby ją strącić ze szczytu. Aby jej nie przerazić głośnem, niecierpliwem ostrzeżeniem, mówił spokojnie:

— Niech pani się cofnie. Pod stopami pani może się skruszyć część szczytu i nastąpi straszne nieszczęście.

Ellinor zaśmiała się wesoło i rzekła:

— O naiwny śmiertelniku! czy myślisz, że rusałka może skaleczyć się lub zabić?

I w ślad za temi słowy zaczęła zstępować na dół, po stromej skale, tak zręcznie, tak lekko, jakby na prawdę była rusałką. Dopiero w połowie skalistej ściany zatrzymała się, bo dalej nie było w skale najmniejszego odłamka, na którymby nogę postawić można; tu już skalista ściana wyglądała jakby olbrzymia tablica marmurowa, starannie wypolerowana.

Struchlał Wolfgang, bo ani wyspinać się nie mógł, aby znieść Ellinorę, ani też nie domyślał się, w jaki sposób ta jego rusałka dalszą drogę przebędzie. Nie długie były obawy, bo Ellinor zawołała:

— Teraz musisz mnie pan pochwycić, bo siła rusałki kończy się w tem miejscu.

To rzekłszy śmiała się wesoło i podniosła ręce w górę, gotowa do skoku. Wolfgang rozwarł ramiona, spoglądał bacznie na ruchy rusałki i w jednej chwili znalazła się w jego objęciach, rękoma oplotła mu szyję, pierś przylgnęła do piersi i zmięszały się ich oddechy. Wolfgang roznamiętniony przycisnął rusałkę do piersi i pocałował ją w sploty włosów, a ona nie gniewała się, nie obraziła, tylko jeszcze silniej oplotła go ramionami i usta ich spoiły się gorącym pocałunkiem.

Wreszcie wyrwała się Ellinor z objęć Wolfganga, ale ujęła go za rękę i zaprowadziła do owego omszałego głazu, na którym siedział przed chwilą. Ona usiadła na głazie, on ukląkł przy niej.

— O — moja ty najdroższa, o moja ty cudowna. Czy to wszystko dzieje się na jawie, na prawdę, czy to sen tylko?

— Niech ci się zdaje, że to sen — odpowiedziała Ellinor i zarzuciła mu ręce na ramiona, a głowę jego przytuliła do swych piersi. Niech ci się zdaje, że to sen, bo pamiętaj dobrze, że pojawiła ci się rusałka z groty czarodziejskiej, a nie Ellinor Mühldorfer. Pamiętaj o tem, żeś przysiągł rusałce tajemnicę do grobu.

— Przysięgam i dotrzymam. O moja ty cudowna rusałko, ty nowe słońce mojego życia!

I znowu spoiły się ich usta gorącymi pocałunkami i oderwać się nie mogli od siebie. Obok nich huczała kaskada, księżyc oblewał ich srebrzystą strugą światła, ale oni wtedy nic nie widzieli i nic nie słyszeli, prócz namiętnego bicia serc swoich.

— Jakiż ja jestem szczęśliwy! Więc ty mnie kochasz? — pytał Wolfgang i podniósł płomienne, rozmarzone oczy ku Ellinorze, a ona wplotła ręce w jego włosy i głaskała mu głowę i szeptała czule:

— Dlatego tu przyszłam mój drogi.

— Ale czy nie zwróci to czyjej uwagi? Może cię kto spostrzegł?

— Przecież jestem rusałką i mogę uczynić się niewidzialną.

— A — twoi rodzice? Ty jesteś tak bogatą, a ja jestem zupełnie biedny, o bardzo biedny.

— Rusałka nie troszczy się o dobra ziemskie. Nie mówmy o tem mój drogi, mój miły. Nie myśl teraz o tem, że Ellinor jest bogatą dziedziczką milionowej fortuny. Niech ci się zdaje, żeśmy sami na świeci, my sami jedni ze sobą i dla siebie.

I wciąż unikała rozmowy o tem, co z tego wyniknie, co będzie dalej, a tylko pieszczotami uspokajała Wolfganga i głuszyła w nim ostatek rozwagi.

Nagle rozległ się dźwięk zegaru na wieży zamkowej. Wybiła godzina dziesiąta. Ellinor zerwała się z głazu.

— Dobranoc mój drogi, rusałka musi zniknąć.

Wolfgang wyciągnął ramiona, jeszcze raz chciał ją przycisnąć, jeszcze gorącym pocałunkiem pożegnać, ale odsunęła go lekko od siebie i szepnęła:

— Nie, nie, nie wolno! Rusałki mogą tylko na krótki czas pojawiać się śmiertelnikom.

— Czy jutro cię zobaczę?

— Nie wiem. Ale pamiętaj: milczenie!

— Czy możesz wątpić?

— Nie wątpię — i wierzę twojej męskiej rycerskości, ale obawiam się nieostrożności. Nietylko zachowanie się i słowa, ale nawet spojrzenia i uśmiechy bywają zdrajcami. Bądź więc stróżem nietylko swoich słów, ale i swoich ruchów, swoich pięknych oczu, aby z nich nie tryskały zdradliwe spojrzenia. A teraz bądź zdrów ukochany śmiertelniku, rusałka wraca w swoje dziedziny.

Zaszeleściały liście, zaskrzypiały gałązki i Wolfgang został sam z rozpaloną głową, z rozkiełzanem sercem, z rozwichrzoną fantazyą. Usiadł na omszałym głazie, na którym przed chwilą Ellinor siedziała i skupiał koło siebie wrażenia i wspomnienia tej błogiej godziny, którą tu spędził. Wreszcie ocknął się, opanował, wstaje z głazu. Spostrzega coś błyszczącego, schyla się, podnosi i przy jasnem świetle księżyca poznaje, że to brelok z bransolety Ellinory, brelok z literami jej imienia. Przycisnął go do ust, schował starannie i zdąża ku zamkowi.

Na tarasie zamkowym rozbrzmiewają jeszcze wesołe śmiechy i głośne rozmowy, całe towarzystwo bawi się z ożywieniem; dostrzegł też Wolfgang białą sukienkę Ellinory, usłyszał jej głos dźwięczny, ujmujący. Ominął taras i bocznemi ścieżkami doszedł do tego skrzydła zamku, w którem było jego mieszkanie. Szedł w ciągłem upojeniu, zamyślony, a gdy już zbliżał się do furty zamkowej, przez którą miał wejść do mieszkania, dostrzegł światło w pokoju, który do jego mieszkania przytykał. Okna w oświetlonym pokoju były otwarte. Wolfgang mało się o to troszczył, że ma teraz jakiegoś sąsiada, pragnął tylko znaleść się jak najprędzej w swoim pokoju, aby swobodnie marzyć o tem, co było i o tem, co będzie.

W tem z otwartego okna usłyszał głos:

— Dobry wieczór panie doktorze.

Wolfgang spojrzał w okno i zobaczył starszego już mężczyznę, któremu przed kolacyą się przedstawił. Ukłonił się uprzejmie i pospieszył do swego pokoju. Sąsiedztwo z tym panem było dlań bardzo niemiłe. Był to pan Dossenau. Wolfgang słyszał to nazwisko gdzieś kiedyś w dziecięcych latach i dlatego z pewną ciekawością a może i niecierpliwością wyczekiwał chwili, żeby się temu panu przedstawić, Dossenau wywarł atoli tak niemiłe, tak wprost antypatyczne na niego wrażenie, że uczuł jakiś dziwny wstręt ku niemu i teraz nawet zaniepokoił się bardzo, gdy zobaczył, że z tym antypatycznym dla siebie gościem Mühldorfera sąsiadować musi.

Było to wrażenie przelotne, bo czemże to jest w porównaniu z tą rozkoszną chwilą, którą przebył pod wodospadem. I jak w latarni czarnoksięskiej zniknął obraz niemiłego sąsiada, a cały pokój wypełnił się Wolfgangowi jasnymi promieniami najcudniejszych marzeń i z każdego kąta wyrastała rusałka i wyciągała ku niemu ramiona i czuł na ustach gorący jej pocałunek. To go ukołysało i zasnął w marzeniach.

III.

Gdy Wolfgang się zbudził, już słońce było wysoko na niebie. Błogie marzenia tuliły go do snu, błogie marzenia zbudziły go teraz. Ubrał się prędko i otworzył okno, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Tuż pod oknem, w cieniu drzewa, na ławeczce siedział Dossenau i palił fajkę, spoglądając do góry. Skoro tylko Wolfgang okno otworzył, sąsiad zawołał wesoło:

— Dzień dobry kochany doktorze.

Zdawało się Wolfgangowi, że mu żaba na nogi skoczyła; skinął sąsiadowi głową i od niechcenia zamruczał zdawkowo:

— Dzień dobry.

— Cieszę się, że pan już wstałeś — zawołał Dossenau — bo chcę pana odwiedzić, jako najbliższego sąsiada.

To rzekłszy, podniósł się z ławki i wszedł do furty zamkowej. Wolfgang struchlał. W tej chwili miał przed oczyma Ellinorę, a cały przepełniony był wrażeniami wczorajszego wieczoru, więc pragnął samotności, a tu człek niemiły, poniekąd nawet wstrętny, chce go męczyć odwiedzinami. Juścić nie mógł temu zapobiedz, zwłaszcza że po krótkiej chwili drzwi pokoju się rozwarły i wszedł Dossenau.

Był to człowiek wzrostu niezmiernie wysokiego, chudy, pochylony, nawet poniekąd zgarbiony. Wyglądał bardzo czerwono. Twarz z ogolonym zarostem, ogorzała od słońca i wiatru świadczyła, że ten człowiek mało przebywa pod dachem. Po twarzy możnaby sądzić, że to jakiś leśniczy, albo zagorzały myśliwy.

Włos na głowie gęsty, nawet bujny, niegdyś czarny, dziś siwiejący, dodawał twarzy wyrazu energicznego. Mógł liczyć około sześćdziesięciu, ale że postawę miał zgarbioną, wyglądał też na ośmdziesięcioletniego starca.

Wszedłszy do pokoju powitał doktora poufałem skinieniem głowy i rzekł od niechcenia:

— Pozwól mi pan dokończyć u siebie fajeczki. Bardzo przepraszam. To moje stare przyzwyczajenie; wy panowie młodzi już nawet nie wiecie, co to fajka. Chciałem z panem pomówić, sąsiadujemy o ścianę.

Wolfgang spełnił obowiązek dobrze wychowanego człowieka, powiedział gościowi kilka słów uprzejmych i podsunął mu krzesło, ale sam nie usiadł, chcąc przez to okazać, że przygotowany jest tylko na bardzo krótką wizytę. Ale Dossenau albo tego nie uważał, albo uważać nie chciał, bo rozparł się w krześle wygodnie, puścił kilka kłębów dymu i rzekł z niejakim naciskiem:

— Ja panie lubię wszystko prosto z mostu, dlatego nie wdaję się w żadne ceregiele, tylko powiem panu otwarcie, po co tu przyszedłem.

Wolfgang spojrzał z podziwem, a po części z obawą; chciał coś powiedzieć, ale Dossenau odezwał się prędko:

— Przyszedłem pana zaprosić do siebie, na czas nieograniczony, a co najmniej na kilka miesięcy. Bardzoby mnie to cieszyło, gdybyś pan chciał być gościem w mojej pustelni.

Wyrzekł te słowa tak obojętnie, tak od niechcenia, jakby zaproponował przechadzkę po parku. Wolfgang zdumiał się bardzo i rzekł cokolwiek niecierpliwie:

— Prawdę powiedziawszy nie pojmuję, czemu właściwie zawdzięczam to zaproszenie, skoro tak mało się znamy.

— Zaraz się pan dowiesz, tylko cierpliwości. Zapraszam pana w gościnę taką samą, w jaką pana zaprosił Mühldorfer, bo mam dla pana zajęcia biblioteczne, tylko właściwsze dla pańskiego stanowiska, niż te, jakie pana u Mühldorfera czekają. Z góry panu oświadczam, że stanowisko pańskie u mnie nie będzie takie dwuznaczne, jak tutaj. Jak pan sądzisz — kochany panie doktorze, w jakim też celu wezwano pana do zamku Walramsegg?

I słowa i sposób, w jaki je Dossenau wypowiedział, uraziły doktora, to też, nie krępując się wcale, odpowiedział energicznie:

— Zdaje mi się, że cel mojego przybycia do Walramsegg nie jest dla nikogo tajemnicą. Pan Mühldorfer życzył sobie, ażebym mu bibliotekę zbadał, uporządkował i katalog sporządził. Nie rozumiem wcale, w jaki sposób staćby się mogło, że moje stanowisko tutaj byłoby dwuznaczne.

Dossenau zaśmiał się głośno, puścił kłąb dymu z fajki przez okno i rzekł z odcieniem szyderstwa:

— I panu się naprawdę zdaje, że Mühldorfer tak bardzo interesuje się swoją biblioteką? Ha — ha — ha — jakaż to poczciwa naiwność.

— Pana Mühldorfera znam bardzo mało i nie mam ani prawa ani powodu wydawać o nim sądu i wątpić w to, co mi mówił.

— Pięknie pan powiedziałeś, oceniam to należycie, bo inaczej nie może mówić człowiek uczciwy i dobrze wychowany, ale jestem za stary na to, aby się bawić w ciuciubabkę i ceregiele i dlatego też muszę panu otworzyć oczy, abyś zrozumiał, czem tu właściwie jesteś.

Wolfgang uczuł jakiś niesmak, nawet obawę. Lękał się, żeby opowiadanie natrętnego sąsiada nie rozwiało jego błogich marzeń, żeby nie usłyszał czegoś, coby było ciosem dla jego wulkanicznych uczuć. Zresztą, jako człowiek dobrze wychowany, z niesmakiem słuchał jakichkolwiek plotek, czy też wygadywań na kogokolwiek. Pozbyć się

natrętnego gościa grzeczność nie pozwala, słuchać nieprzyjemnie, więc prawdziwie przełamywać się musiał, aby spokojnie wysłuchać, co mu gość powiedzieć zamierzał.

— Mühldorfer, kochany doktorze, to spekulant na wielką skalę. Goni za szczęściem, gdzie go się tylko spodziewa. Grywa na giełdzie, buduje drogi żelazne, zakłada fabryki na ogromne rozmiary, a równocześnie kopie brylanty w Australii, srebro w Ameryce, a węgiel w Niemczech. Setki projektów ścigają się w jego głowie i niema dnia, żeby jednego nie podjął, drugiego nie dokonał. Ten człowiek bywa niekiedy królem giełdy i dlatego to, jak pan widzi, najwięksi arystokraci przybywają do niego w gościnę. Ale ten człowiek, który rzuca milionami, ten król dróg żelaznych, jak go niektóre dzienniki z upodobaniem tytułują, niema za grosz więcej wykształcenia od swoich lokai, których przyjął w służbę od dawnego dziedzica zamku. On panie ani jednej z tych książek nigdy nie przeczyta, a pana tu ściągnął, aby udawać przed światem wielkiego miłośnika nauk.

Toż samo, tylko inaczej wypowiedziane, usłyszał już wczoraj od Ellinory, więc nie myślał zbijać tego, co Dossenau mówił, jeno odezwał się poważnie i z godnością:

— Gdyby nawet tak było, jak pan mówi, nie uważałbym w tem dla siebie nic ubliżającego. Czy pan Mühldorfer ma większe lub mniejsze wykształcenie, to dla mnie rzecz zupełnie obojętna. Życzył sobie uporządkowania biblioteki i to też czynię, a czynność ta nie może nazywać się wcale dwuznaczną. Nie widzę powodu, dla którego miałbym schodzić z zajętego stanowiska. Uczyniłbym to niezawodnie, gdybym dostrzegł w zachowaniu się względem mnie czy to pana Mühldorfera czy rodziny coś takiego, coby było dla mnie uwłaczające. Wtedy porzuciłbym moje zajęcia natychmiast. Do tej chwili atoli nie dostrzegłem nawet cienia czegoś takiego, coby świadczyło o lekceważeniu mojej osoby.

— Nie wątpię o tem. Nawet doświadczyłeś pan wielkich względów, o czem wiem doskonale.

Powiedział to z szyderczym uśmiechem i z wielkim naciskiem. Mimowoli Wolfgang doznał wstrząśnienia i lekko się zarumienił. Chciał coś powiedzieć, ale mu wyrazy ugrzęzły w gardle i nastała chwila przykrego milczenia. Dossenau puszczał kłęby dymu za okno i spoglądał przenikliwie na doktora; Wolfgang wytężał siły, aby ukryć pomięszanie.

Wytrzymawszy doktora na torturach przez długą minutę, odezwał się Dossenau:

— Jestem pewien, że wkrótce ocenisz doktorze tę rolę, którą tu pan w oczach Mühldorfera, jego gości i jego rodziny odgrywasz

Ostatnie wyrazy „jego rodziny“ wyrzekł z bardzo znaczącym naciskiem, a potem kończył spokojnie:

— Otóż na wypadek, gdy pan swoją rolę zrozumie i oceni, proszę o mojej propozycyi pamiętać...

Wolfgang pochylił głowę na znak podziękowania, ale nie myślał jeszcze wcale o tem, że z tych zaprosin kiedyś skorzysta. Zdawało mu się, że sprawa załatwiona, ale Dossenau mówił dalej:

— Mam ja stare zamczysko w górach; niema tam tych wspaniałości co tutaj, ale mieszkać można, jeżeli nie wspaniale, to wcale wygodnie. Dokoła zamczyska las gęsty, dobrze podszyty, powietrze orzeźwiające, spokój i cisza, a swoboda wielka. Ale niechże się panu znowu nie zdaje, że to już zupełnie za światem, bo są tam ludzie dokoła, z którymi można i przyjemnie i rozumnie pogadać. Są tam także innego rodzaju powaby, które już pan sobie sam według upodobania oceni. Mam ja wprawdzie i pałac nowoczesny w moim majątku, ale w nim od lat trzydziestu nie mieszkam, bo mi tam lepiej w starem zamczysku, na swobodzie, niż w pałacu wymuskanym. W pałacu mieszka mój rządca, a jeżeliby panu było tam milej, to mógłbyś sobie i cały pałac zająć dla siebie.

— Nie umiem wyrazić sobie tytułu, któryby mnie upoważnił do korzystania z gościnności pańskiej — rzekł Wolfgang cokolwiek cieplej, ujęty serdecznym tonem mowy starego dziwaka.

— E, co tam. Znowu to samo. Juści przecież nie prosiłbym pana do siebie, gdybyś mi pan nie był potrzebnym. Do towarzystwa w polowaniu, lub w paleniu fajki, wcale się pan nie nadaje, bo uczeni na tem się nie znają, a skoro pana proszę, jako uczonego filologa, toć dlatego, że tam jest robota dla takiego, jak pan człowieka. Jest tam pełno starych dokumentów, a i starych książek nie mało, a także i ja nie zawsze poluję, i nie zawsze ludzi nudzę odwiedzinami, tylko jak pora na to, maczam pióro w kałamarzu i piszę to i owo. Jest tam tej pisaniny może nawet z jaki cetnar. Chciałbym, żeby to jaki znawca przepatrzył, może z tego co do druku wybrał, i niechby szło na pożytek ludzki, bo w tej pisaninie mojej zebrane doświadczenia długich lat życia. Otóż widzisz kochany doktorze, że nie byłbyś u mnie darmozjadem, ale pożądanym pracownikiem. Zabawię tu jeszcze przez dwa dni i pocieszam się nadzieją, że przez ten czas będziesz się mógł zdecydować.



...powiewna, pełna wdzięku, ożywiona, urocza, posunęła się ku środkowi...

Dossenau wypuścił ostatnie kłęby dymu z fajki, zajrzał do środka, wytrząsł z niej popiół i resztkę tytoniu — schował fajkę do kieszeni i powstając z miejsca, wyciągnął rękę do Wolfganga na pożegnanie i dodał na odchodnem, uśmiechając się serdecznie:

— Dobry z pana człowiek, kochany doktorze, można ci to wyczytać z twarzy, tylko to nie dobrze, że lubisz przechadzki w noc księżycową; to nie zdrowo dla pana, a zwłaszcza w okolicy wodospadu. Byłoby to bardzo pożyteczne, gdyby panu jaki lekarz nakazał zmianę miejsca pobytu.

Wolfgang cofnął się wstecz o jeden krok ze zdumienia i gniewu; chciał coś opryskliwego wyrzec, ale Dossenau oddalił się prędko, zagwizdawszy jakąś aryjkę.

Nie mógł doktor zrozumieć, skąd ten stary dziwak wie o jego schadzce, dlaczego się nim tak zajmuje. Gniewało go to bardzo, nawet oburzało. Przed chwilą jeszcze zaczął pozbywać się niechęci do swojego sąsiada i uczuwał już jakiś nawet początek sympatyi, ale to uczucie stłumił w zarodku sam Dossenau złośliwą uwagą o przechadzkach w czasie księżycowej nocy.

Uczuł wielką ulgę, gdy niemiły gość odszedł, ale spokoju nie odzyskał i drażniące myśli kłębiły mu się w głowie. Jeżeli ten stary dziwak podpatrzył i podsłuchał, jeżeli ich zdradzi, Ellinor będzie skompromitowana i ten uroczy stosunek, który tak niespodzianie się zawiązał, może zerwać się nagle. Jak tu dociec prawdy? Nie znalazł innej rady, tylko wyjawić wszystko Ellinorze, udzielić jej przestrogi.

Poszedł do biblioteki i zabrał się do roboty, jak zwykle. Było mu tam przyjemniej, niż pierwszego dnia, bo nietylko księgi do niego przemawiały, ale i błogie echa szczebiotu Ellinory. Był pewien, że Ellinor odwiedzi go w bibliotece, nawet nadsłuchiwał, rychło drzwi się otworzą, rychło usłyszy jej srebrny głosik, ale płynęła jedna godzina za drugą, a pożądany gość nie przybywał. Smutno mu było, zabrał się do roboty, aby skrócić oczekiwanie i czas przedobiedni. Zaledwie zaczął się rozpatrywać w nowych foliałach, usłyszał za oknem głos Ellinory. Śmiała się i rozmawiała głośno. Pobiegł ku oknu, szuka jej stęsknionem okiem, spostrzega, ściga płomiennem spojrzeniem. Ellinor nie sama; u jej boku jakiś nowy gość zamkowy. Człowiek młody, o postawie smukłej, zgrabnej, pełnej elegancyi. I ruchy i wytworne ubranie świadczyły, że to prawdziwy salonowiec. Twarz bardzo urodziwa, nawet uderzająco piękna, miała wyraz lekkości, właściwej ludziom albo lekkomyślnym, albo bardzo szczęśliwym. Wolfgang doznał uczucia pożerającej zazdrości; zdawało mu się, że go coś dławi, zaszumiało mu w głowie, krew zakipiała.

— Cóż znowu? — reflektował się Wolfgang. Przecież nie sposób, żeby Ellinor zaniechała wszelkich obowiązków względem gości swoich rodziców. Już sama grzeczność wymaga, ażeby zajmowała się w równej mierze wszystkiemi, co tu przebywają. Żeby tylko spojrzała bodaj raz jeden ku oknu! Przecież wie, że ja tu jestem. Że jej też serce nie powie, jak ją pochłaniam oczyma. Niedobra! Może teraz spojrzy, jest tak blisko, podnosi głowę. Ha! spojrzała na swojego towarzysza, ale nie na mnie. Może myśli, że mnie tu niema? Tak, tak! to niezawodnie. Jej się zapewne zdaje, że usłuchałem rady i w bibliotece nie będę dłużej, niż godzinę przesiadywał. Przy obiedzie wynagrodzą mi jej spojrzenia to daremne oczekiwanie.

Nadeszła wreszcie wyczekiwana pora obiadowa, Wolfgang podążył z innymi do sali jadalnej, gdzie już Mühldorfer zaznajamiał nowego gościa z dawniejszymi. Gdy doktor wszedł i ujrzał towarzysza Ellinory na rannej przechadce, doznał ponownie niemiłego uczucia zazdrości. Mimo tego zbliżył się ku niemu o tyle, aby Mühldorfer miał ułatwione zaznajomienie ich obu.

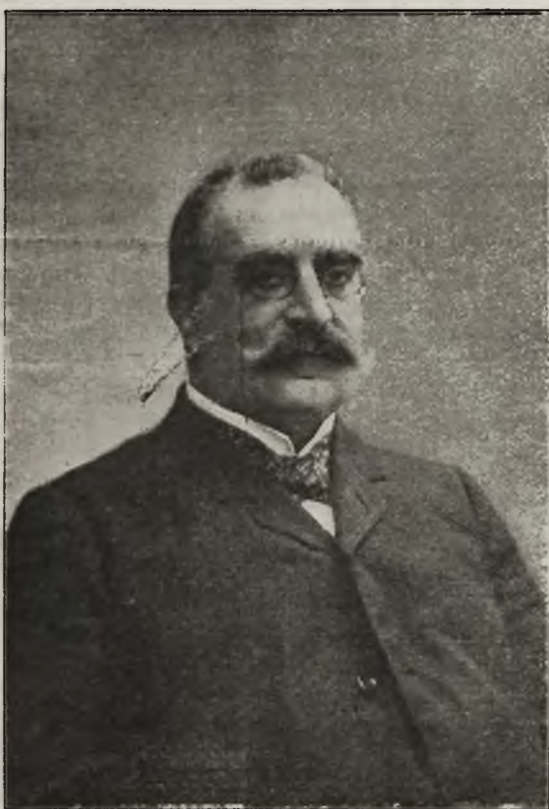
— Pan doktor Wolfgang Dolmar — rzekł Mühldorfer — hrabia Raoul de Rivalier, attaché ambasady francuskiej, serdeczny przyjaciel mojego domu — dodał z wyniosłością dorobkiewicza.

Francuz wyciągnął rękę ku doktorowi, uścisnął ją z prawdziwie salonową uprzejmością i zaczął z nim odrazu rozmawiać o rzeczach naukowych. Poznać było, że to człowiek prawdziwie wykształcony, wszechstronnie oczytany i rozmowa z nim byłaby dla Wolfganga istotną przyjemnością, gdyby nie to, że w ciągłem roztargnieniu spoglądał na drzwi, wyczekując zjawienia się Ellinory. Ellinor jakoś spóźniła się dzisiaj, co nawet musiało wywrzeć zadziwiające wrażenie na zebranych, boć przecież, jako córka gospodarstwa powinna była oczekiwać gości w sali jadalnej. Ale nietylko Wolfgang spozierał na drzwi z roztargnieniem, to samo czynił i Francuz i dlatego rozmowa z doktorem toczyła się cośkolwiek niezgrabnie, co chwila się przerywała, chociaż obaj usiłowali udawać obojętność i zainteresowanie się przedmiotem rozmowy.

Zaczynało być dla obu bardzo kłopotliwe, aż wreszcie drzwi się otwarły i zjawiła się Ellinor, wystrojona z wyszukaną elegancyą, a nawet z przepychem. Tonęła w puchach najdelikatniejszych koronek, lśniła brylantami i powiewna, pełna wdzięku, ożywiona, urocza posunęła się ku środkowi sali. (C. d. n.).

Zawieszenie „Macierzy polskiej“ w Warszawie.

Smutną i bolesną nad wyraz wiadomość przyniosły nam dzienniki w przededniu świąt Bożego Narodzenia, wiadomość, iż czynności „polskiej Ma-



Skon zasłużonego urzędnika: Ś. p. Antoni Jaegermann.

cierzy szkolnej“ w Królestwie zostały z rozporządzenia generał-gubernatora Warszawy zawieszone na czas nieograniczony.

Jeszcze przed paru tygodniami cieszyliśmy się wszyscy świetnymi wynikami krótkiej działalności tej pożytecznej instytucyi, która zgrupowała pod swym sztandarem przeszło 116 tysięcy członków w 781 kołach, która na cele swoje zebrała ogółem 810 673 rubli, a z tego na cele oświaty wpłynęło do lipca b. r. 387 tysięcy rubli. Szkółek założyła Macierz 781, w których naukę pobierało 63 tysięcy dziatwy; z ochron korzystało 14 000 dzieci.

Wyniki więc świetne, imponujące. Zjazd delegatów, który się odbył w drugiej połowie listopada b. r., przy udziale przeszło tysiąca osób, był zapowiedzią jeszcze lepszej, jeszcze piękniejszej przyszłości. To też niby grom z jasnego nieba, spadła na ogół polski wieść o zawieszeniu tej pięknej, pożytecznej instytucyi oświatowej.

Na czele „Macierzy“ stał zasłużony w Królestwie działacz, mecenas Antoni Osuchowski. Z wielką energią dążył on do utrzymania bezpartyjnego kierunku „Macierzy“, starał się też, by w działalności tej instytucyi nie było nic takiego, coby narazić mogło jej byt.

Mimo to zapadł smutny i bolesny dla nas wyrok. Pogodzić się z nim każe smutna rzeczywistość, która jednak daje nadzieję iż zbliża się chwila, w której zniesiony zostanie stan wojenny, a wraz z tem przywróconą i działalność „Macierzy“.

Zaręczyny księcia bułgarskiego.

Owdowiały od ośmiu lat książe bułgarski Ferdynand, postanowił obecnie wstąpić po raz drugi w związki małżeńskie, a tem samem dać czworgu osierociałym dzieciom, drugą matkę. Pożycie z pierwszą małżonką, księżną Maryą Ludwiką Parmeńską, było w ostatnich latach cokolwiek zachmurzone z powodu polityki, jaka panowała wówczas na dworze bułgarskim. Księżna zmarła w roku 1899 przy urodzeniu drugiej córki, księżniczki Nadeżdy.

Obecnie na meklemburskim zamku Serrahn, zaręczył się ks. Ferdynand z urodzoną 1860 roku księżniczką Eleonorą Reuss-Köstritz, starszą od siebie o pięć miesięcy. Księżniczka Eleonora, spokrewniona z dworem rosyjskim przez małżonkę Wielkiego Księcia Włodzimierza, stryja obecnego cesarza, brała jako sanitaryuszka udział w wojnie rosyjsko-japońskiej. Obowiązki te pełniła z wielkiem poświęceniem i zaparciem się siebie, wskutek też czego zyskała wielką miłość i sławę między rannymi obu stron walczących.

Gdy prezydent ministrów Dr. Gudew zakomunikował posłom, obradującym w Sofii, wiadomość o zaręczynach księcia, Sobranie przyjęło wiadomość tę hucznymi oklaskami, prosząc o wyrażenie księciu życzeń.

Pewne trudności nasuwać będzie obrządek za-



Rektor uniwersytetu lwowskiego: J. Mgf. Prof. dr. Bronisław Dembiński.

ślubin, książe Ferdynand znajduje się bowiem pod klątwą kościelną z tego powodu, że ze względów politycznych przyłączył syna swego i następcę tronu Borysa, ochrzczonego pierwotnie w obrządku łacińskim i katolickim, do obrządku wschodniego.

Skon zasłużonego urzędnika.

W zeszłym tygodniu zmarł we Lwowie długoletni kierownik galicyjskiego funduszu propinacyjnego śp. radca dworu Antoni Abgar Jaegermann.

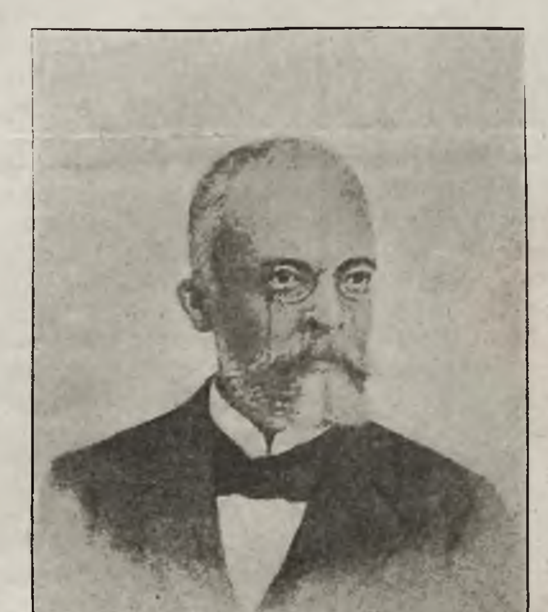
Urodzony w r. 1852, wstąpił w r. 1873 po ukończeniu studyów uniwersyteckich do służby politycznej i służył naprzód w namiestnictwie, następnie kolejno przy starostwie w Stanisławowie, w biurze prezydyalnem w namiestnictwie i w ministerstwie spraw wewnętrznych. Z ministerstwa powołany został napowrót do Galicyi, gdzie objął kierownictwo starostwa, naprzód w Tłumaczu a następnie w Stanisławowie, aż w r. 1889 mianowany radcą namiestnictwa, objął stanowisko referenta krajowej dyrekcyi funduszu propinacyjnego, które to stanowisko piastował prawie aż do śmierci.

W r. 1898, podczas pamiętnego runu na galicyjską Kasę oszczędności, ustanowiony rządowym



Fot. K. Seebald, Wiedeń.

Zaręczyny księcia bułgarskiego: Książę Ferdynand bułgarski z narzeczoną swą ks. Eleonorą Reuss-Köstritz.



Zawieszenie »Macierzy polskiej« w Warszawie:
Antoni Osuchowski, prezes »Macierzy« w Królestwie

komisarzem w Kasie, przyczynił się w największej bodaj mierze do tego, że zarządzenia, wydawane z całą świadomością trudnego położenia, a przeprowadzone z żelazną energią, uratowały Kasę, a zarazem i kraj od nieobliczalnej katastrofy finansowej.

Pogrzeb śp. Jaegermanna odbył się w obecności wszystkich prawie dygnitarzy i mnóstwa publiczności.

Rektor uniwersytetu lwowskiego.

Krwawe zajście w ubiegłym tygodniu w czasie imatrykulacyi na uniwersytecie we Lwowie, zwróciło ponownie uwagę społeczeństwa polskiego na ten przybytek polskiej nauki oraz na osobę tego, który w tym roku stoi na jego czele. Jest nim jeden z najwybitniejszych naszych historyków, dr. Bronisław Dembiński, autor wielu dzieł niepospolitej wartości, od wielu lat profesor historyi powszechnej na uniwersytecie lwowskim, człowiek bardzo wysokiej kultury i wypróbowany patryota.

Osoba obecnego rektora jest też rękojmią, że sprawa uniwersytecka zostanie załatwioną zgodnie z pragnieniami i dążnościami społeczeństwa polskiego, że polski charakter *Almae matris* nie zostanie w niczem naruszony a wszelkie zamachy na jej polskość będą z godnością odparte. Że rektor prof. Dembiński zamierza stać twardo na stanowisku, zgodnem z wolą wszystkich stronnictw narodowych, dowiódł tego już w ciągu paromiesięcznej swej działalności.

Bardzo sympatycznym objawem, który z szczególnym naciskiem podnieść należy, jest jedność rektora z senatem i młodzieżą w dążeniu o utrzymanie polskości uniwersytetu. Mimo więc coraz częstszych ataków ze strony młodzieży ruskiej, mimo pogłosek o konszachtach rządu z przywódcami parlamentarnego klubu ruskiego i rzekomych koncesyach na rzecz uroszczeń antipolskich, wierzyć należy mocno, iż lwowska *Alma mater* pozostanie w przyszłości jak dotychczas—placówką polskiej wiedzy i polskiej kultury na wschodnich kresach naszej Ojczyzny.

Z TYGODNIA

No — na brak materyału do kroniki w tym tygodniu uskarżać się nie można. Gdyby spisać tylko wszystkie wiece antypruskie, streścić ich rezolucye i wzywania do bojkotu towarów niemieckich, to możnaby sobie tym spisem i streszczeniem parę pokoji wylepić. Jeżeli zaś wezwania do bojkotu choć w połowie staną się czynem, to prusactwo poniesie olbrzymie materyalne straty. Za mało jednak na tych wszystkich wiecach poświęcono uwagi odniemczeniu Galicyi, o czem pisaliśmy w poprzedniej kronice, powtarzając i uzmysławiając uwagi p. K. Bartoszewicza, przewodniczącego komitetu wiecu krakowskiego. Dopiero na wiecu „dla obrony kresów“ uwagi te sformułowano i w kształcie wniosków uchwalono.

Na tym wiecu kresowym uchwalono też rezolucyę założenia towarzystwa „Straż polska“. Ma to być właśnie owa organizacya samoobrony, o której, jako koniecznej, wspomniano na wiecu krakowskim 8 grudnia. Sprawa o tyle posunęła się naprzód, że mamy już nazwę towarzystwa, idzie teraz tylko o członków, ofiarność i o energiczną działalność. Są to napozór rzeczy nie tak trudne do przeprowadzenia, boć jeżeli wymieniamy między nimi ofiarność, o brak której niejedna najszlachetniejsza rzecz się rozbija, to w tym wypadku ofiarność ta obracałaby się w bardzo skromnych granicach. Sądzę, że w Galicyi jest 100.000 ludzi, którzy są w możności na cel dobra narodowego poświęcić miesięcznie 20 lub 30 centów, bez obawy nietylko przed bankructwem, ale i przed uszczupleniem sobie potrzeb życiowych. A o nic więcej nie chodzi. Taka ofiarność ze strony owych stu tysięcy przyniosłaby rocznie koło pół miliona koron, a toby wystarczyło do rozwinięcia akcyi „Straży“, toby jej pozwoliło skutecznie agitować za bojkotem, zasilać groszem kresy, pracować w kierunku odniemczania. Przy dobrej woli, tylu członków z taką wkładką Galicya dostarczyć chyba może.

Obawiam się tylko o jedno, a mianowicie o... prezesów „Straży“. Nie, ażeby tego towaru zabrakło, bo jeżeli czego, to kandydatów na prezesów mamy niesłychaną obfitość. Ale właśnie ta obfitość jest naszą bolączką. Całe bandy „paradierów“ wciskają się wszędzie, aby zdobyć sobie tytuł i spocząć na laurach. Czyście nie zauważyli naprzykład, szanowni Czytelnicy, że ilekolwiek razy zabierzemy się do jakiejś roboty publicznej, zawsze zjawiają się do „gotowego“ jedne i te same figury, głodne zaszczytów. Poddaj takiej figurze jakąś myśl, powiedz, że to a to należałoby zrobić, a figura uśmiecha się pobłażliwie i wyrazi pessymistyczną uwagę, że przy naszej obojętności to „szkoda czasu i atłasu“, czasem zaś wprost oświadczy, że uważa taką „robotę“ za zbyteczą. Ale jeżeli znajdą się inni, co ową myśl poruszą, ową robotę przygotują, to figura natychmiast się znajdzie i wyciągnie rękę po prezesurę, która jej się z „urzędu“ należy. Nie ze zdolności, nie z wiedzy, nie z zasług, nie z pracy, lecz z urzędu. Niech inni pracują, figura jest na to, aby prezesowała, aby ją drukowano po dziennikach, aby nazwiskiem swym dawała sankcyę robocie. I odrazu najczęściej cała rzecz w łeb bierze, boć przecie ten, kto stoi na czele, powinien dawać inicyatywę, kierunek, powinien sam pracować i innych zachęcać do pracy. A to tymczasem jest tylko pęcherz nadęty, któremu robić się nie chce i który nawet robić nie może, bo albo nie umie, albo tyle piastuje godności, że niema poprostu czasu. Zazwyczaj zajmuje parę posad, prezesuje paru instytucyom i kilku komitetom, dźwiga przytem godność posła lub radcy miejskiego, należy do dziewięciu komisyj, mnóstwa ankiet itd. — przytem wszędzie musi świecić swą obecnością, nie obędzie się bez niego żadne „otwarcie“, żaden zjazd, żadne przyjęcie, a przedewszystkiem żadna „biba“. Jestto typ — wszędzie go widać, a nigdzie nic nie robi. Ba! sam nie robi, ale i innych zniechęca. Naprzód psuje im robotę, wtrącając się do nieswoich rzeczy, tamując potrzebny pośpiech, wnosząc formalistykę, wlokąc przez rok cały, co w miesiącu przeprowadzić można. To jedno źródło zniechęcenia, a drugie leży w naturze ludzkiej. Trudno, ale trzeba się z tem pogodzić, że każdy ma swoją ambicyę. Jeżeli zaś kto widzi, że nietylko praca jego napotyka na trudności, ale że chwałę tej pracy zabiera mu zawsze jakiś figurant, to prosta rzecz, że w końcu rzuca robotę i mówi sobie: cóż u licha, czyż wiecznie dla kogoś mam pracować?

Te uwagi są ostrzeżeniem dla przyszłej „Straży“ i wogóle dla wszystkich przyszłych robót, aby o ile możności strzegły się figurantów. Ludzi przecież nie braknie, — niech się podzielą pracą i zaszczytami.

Ale dość o prezesach, bo znowu Rusini są „przy pracy“. Ba, oni i „podział pracy“ świetnie przeprowadzają. Jedni znów zrobili karczemne burdę w uniwersytecie lwowskim, a drudzy parlamentarną burdę (stopień wyższy od karczemnej) urządzili w Izbie posłów. Bohaterem tej ostatniej jest poseł Baczyński. Dość spojrzeć na jego „fizyonomię“, aby odgadnąć, co to za ptaszek. Z takim panem nietylko w lesie spotkać się niebezpiecznie. Przekonał się o tem poseł Benkowicz, który uderzony kawałem pultu, rzuconego przez tego bojownika, padł bezprzytomny i pokrwawiony. Prawdopodobnie p. Baczyński otrzyma za swój czyn nagrodę od sądu wiedeńskiego. Nie będzie to dla niego zresztą nowością, ponieważ już raz za podburzanie był skazany na 14 dni aresztu. Dodać należy, że Baczyński jest kandydatem adwokackim, a więc „obrońcą prawa“. Jeżeli tacy są prawa obrońcy, jakże wyglądać będą jego gwałciciele? W każdym razie należy spodziewać się, że Björnson napisze odę na cześć tego patryoty, a wyższe sfery, nie chcąc zabrać bliższej znajomości z pultami, postarają się ułagodzić Rusinów jaką nową koncesyą.

Sądzę, że należałoby również ułagodzić nieco zapał naszych agitatorów za wstrzemięźliwością od alkoholu. Wszelka przesada jest szkodliwą, a panowie ci zdają się o tem nie wiedzieć i występują ze swą propagandą tam nawet, gdzie to budzi niesmak. Wystąpili oni np. na wiecach antypruskich z propozycyą zamykania szynków w niedziele i święta. Najzupełniej zgadzam się z ich żądaniem; przypuszczam, że każdy rozumie, iż otwieranie szynków w dnie, w których wszystkie sklepy są zamknięte, kiedy nawet kawałka mięsa kupić nie można, jest anormalnem. Nie trzeba też dowodzić, że w dnie świąteczne wskutek otwarcia szynków, najwięcej szerzy się pijaństwo, najwięcej uboższa ludność marnuje grosza, najwięcej bywa burd i bijatyk. Wszystko to prawda, ale czy wypada, aby gadać o szynkach w chwili, kiedy idzie o protest przeciw gwałtom pruskim, o walkę w obronie praw najdroższych. Jak ci panowie nie rozumieją, że obniżają powagę takich zgromadzeń, a sami narażają się na śmieszność, jak nie rozumieją, że raczej szkodzą niż pomagają swej słusznej sprawie!

Należy prowadzić walkę z alkoholizmem, ale nie wpadać w ostateczności. Oto świeżo wybitni włoscy lekarze i hygieniści, powołani do ankiety o szkodliwości wina, wydali przeważnie opinię, że wino jest dla organizmu „materyą odżywczą“, powstrzymującą jego zużycie. Temi słowy wyraził się dr. Angelo Mosso, profesor fizyologii uniwersytetu turyńskiego. Oparł on swoje twierdzenie na doświadczeniach i na fakcie, że armia pruska w r. 1870—71, była w najkorzystniejszych warunkach zdrowia, kiedy obozowała w okolicach winnic, a przeciwnie członkowie towarzystw wstrzemięźliwości nie wytrzymywali trudów dalekich marszów i służby oblężniczej. Augusto Murri, profesor medycyny klinicznej w Bolonii uznał, że wino przynosi korzyść zdrowiu, że ludzie, którzy go umiarkowanie używali, zachowują w starości wielki zasób sił fizycznych i umysłowych. Profesor dyagnostyki lekarskiej w Bolonii, pan Bonawentura Graziadei, nazwał nawet alkohol „potrzebą ludzkości“. Cała rzecz w tem, że należy tej potrzeby używać umiarkowanie. Ale czegóż umiarkowanie używać nie należy? Źle robi, kto je za dużo mięsa, źle robi, kto spożywa za dużo pieczywa, źle robi, kto za dużo pracuje, kto za dużo tańczy, kto za dużo jada słodyczy, kto za bardzo jest kochliwy. Nawet za wielkie oddawanie się ćwiczeniom ciała, prowadzi często do kalectwa, suchot, lub zwyrodnienia umysłowego. Zwalczajmy więc pijaństwo, ale nie bróńmy kieliszka wódki lub wina człowiekowi zdrowemu. Choremu, słabemu fizycznie lub umysłowo, może on zaszkodzić, ale choremu byle co szkodzi. I właśnie wśród tych ludzi „słabych — pisze pewien publicysta — werbują się umysły ciasne, jednostronne, które uczepiwszy się jakiegokolwiek *izmu*, widzą w nim *panaceum* na wszelkie dolegliwości społeczeństwa i walczą w jego imieniu z bezwzględnością maniaków“.

Nie trzymała się ich zdania nowo założona Izba rękodzielnicza, kończąc uroczystość swego otwarcia śniadaniem z kieliszkiem wódki i wina. Rękodzielnicy krakowscy dali dobry przykład (nie mam na myśli śniadania), tworząc instytucyę, która ich połączy, w której będą decydować o swoich prawach i interesach, która będzie mogła informować władze o potrzebach i brakach zawodowych. Wkrótce ma powstać też w Krakowie instytucya dla ochrony i popierania rękodzielników, która, według wyrażenia p. Kosobuckiego, będzie niejako uniwersytetem dla rękodzielników. Przyklasnąć temu należy, że rękodzielnicy sami pomyśleli o sobie, że się zrzeszają, aby bronić swych praw i interesów, a nie czekają, aż się kto nimi zaopiekuje, aż same gołąbki wpadną do gąbki. Jedno mnie tylko przejmuje obawą — oto na uroczystości otwarcia Izby nie było radcy Beringera. Był wprawdzie pan namiestnik, pan marszałek, byli i inni dygnitarze, ale, proszę mi wierzyć, w Krakowie bez radcy Beringera żadna rzecz się nie uda.

Dlatego też jestem w strachu o projektowaną bibliotekę i czytelnię ludową, jaką ma gmina założyć na wniosek radcy Bartoszewicza. Do ankiety nad tą sprawą powołano dyrektora Estreichera, dyrektora Pappego itd. a zapomniano o radcy Beringerze. Obym był fałszywym prorokiem, ale wobec tego zapomnienia powstanie biblioteki uważam za bardzo wątpliwe. Chyba, że błąd naprawiony zostanie.



Smutne losy opery warszawskiej.

Opera warszawska, która niedawno jeszcze była chlubą polskiej sztuki, która rozporządzała znakomitą orkiestrą i pierwszorzędnymi solistami, której repertuar stał pod względem artystycznym na nadzwyczaj wysokim poziomie, dziś znajduje się w stanie upadku i rozkładu. Ciężkie przejścia, jakich widownią była Warszawa, odbiły się fatalnie na wszystkich tamtejszych teatrach, odbiły się też i na operze. Deficyty, zwiększające się stale z roku na rok, skłoniły wreszcie rząd do wydzierżawienia tego przedsiębiorstwa, bo jedynie tą drogą można było operę warszawską uratować.



Smutne losy opery warszawskiej: Dyr. Aleksander Rajchman.

Dzierżawę otrzymał p. Aleksander Rajchman, dyrektor warszawskiej Filharmonii. Już nazwisko nowego kierownika przepowiadało operze warszawskiej nie zbyt pomyślną przyszłość. P. Rajchman bowiem znany jest w Warszawie powszechnie nie tyle z aspiracyi artystycznych, ile z rzutkości, energii i przedsiębiorczości w kierunku kasowym. To też znający stosunki warszawskie, przepowiadali z góry, że przedsiębiorstwo p. Rajchmana zrobi pod względem artystycznym klapę.

Przepowiednie te niestety ziściły się prędzej, niż to nawet najwięksi pessymiści przypuszczali. Przedstawienia w operze, są — wedle zgodnego zdania krytyki — słabe, niedostatecznie przygotowane, to też publiczność stroni od opery i rzadko teatr wypełnia. Podporą sezonu miał być znakomity nasz śpiewak, p. Aleksander Bandrowski, niezrównany odtwórca postaci Wagnerowskich. Ten jednak, przekonawszy się o fatalnych stosunkach artystycznych w operze p. Rajchmana, opuścił Warszawę i udał się do Galicyi, gdzie prawdopodobnie zasili personal opery lwowskiej. Mówią też o kilku innych wybitnych siłach śpiewackich, które zamierzają pójść w ślady p. Bandrowskiego.

Bardzo charakterystycznym przyczynkiem dla oceny artystycznej działalności p. Reichmana jest głośna historya jego z pianistą Tosellim, mężem b. hrabiny Montignoso. P. Toselli zamierzał w swojem *tournée* zatrzymać się i w Warszawie, aby urządzić tam koncert w Filharmonii. Otóż dyrektor Rajchman godził się na jego występ, ale tylko pod tym warunkiem, że na koncercie obecną będzie i pani Toselli. Warunek ten odrzucił młody pianista, uważając go za zbyt niehonorowy. Wskutek też tego, koncert nie przyszedł do skutku.



Andrzej Marek.
(Do artykułu na stronie 10).

Z lwowskiego bruku.

(Niesensacyjna imatrykulacya. — Z za kulis dziennikarskich. — Ewentualna sensacya. — Monotonia: bojkot, Baziuk i morderstwa. — Witraż czy pasaż? — Pocztowa rzeźnia. — Wesołe towarzystwo. — Rozwodniona zabawa. — Mróz a ogłoszenia magistrackie. — Nareszcie sensacya).

Mieliśmy znów krwawą imatrykulacyę na uniwersytecie. Jeżeli od niej rozpoczynam kronikę wypadków, to tylko dlatego, że tak z chronologicznego ich biegu wypada — dla nas bowiem awantury przy uroczystościach akademickich dawno już przestały być „sensacyą“. Robi się ją tylko sztucznie w dziennikach, wszelki czar pryśnie, gdy wglądniemy za kulisy takiej roboty. Jeżeli n. p. imatrykulacya we Lwowie ma się odbyć dajmy na to (dlaczego nie na tamto?) w sobotę o godzinie 10, to już o godzinie 8 rano cała sensacya technicznie jest gotowa. Złożone są już artykuły ze strasznie tłustym tytułem „Znów krwawe zajście na wszechnicy“, najdokładniejszy opis bójki (wszechpolskie dzienniki piszą, że pierwsi podnieśli pałki Rusini, ruskie, że Polacy i t. d.), formy są już prawie gotowe do druku, czeka się tylko na nazwiska rannych. W dniu poprzednim zapytuje się telefonem Pogotowie, który z lekarzy ma dyżur, a policyę, który komisarz „trzyma“ służbę — w ten sposób stajemy się powoli amerykańską prasą. Służący z biura plakatowania stoi pod uniwersytetem, a skoro tylko poczną się prać, natychmiast rozlepia paski dzienników, donoszące o nadzwyczajnych dodatkach z illustracyami. Policya skonsygnowana na pobliskiej strażnicy, reporterzy w kordlecie zakładają się o paczkę tytoniu, wielu będzie rannych — słowem wszystko przygotowane, jak się patrzy. Przepraszam bardzo Szanowną Redakcyę, że zdradzę jej tajemnicę, ale zdaje mi się.... że i aparat „Nowości“ widziałem już o w pół do dziewiątej na balkonie jednej z kamienic przy ulicy św. Mikołaja.

Nie było więc w tem wszystkiem absolutnie nic ciekawego. Kolosalna sensacya byłaby powstała natomiast wtedy, gdyby awantur żadnych nie było! Jest to strasznie niekoleżeńskie życzenie, ale zaiste szkoda, że się tak nie stało! Wyobraźcie sobie, coby się działo wtedy w redakcyach! Urwanie głowy—wycinanie na gwałt artykułów z pism krakowskich i warszawskich, pospieszne składanie, łamanie, odlewanie i inne straszne rzeczy. Dzienniki się spaźniają, wychodzą o 2, 3 godziny za późno, nie zdążają do prowincyonalnych pociągów, przeklinanie uniwersytetu i imatrykulacyi! Na szczęście jednak wszystko poszło jak z płatka. Bójka była, pałki i toporki jawiły się do przysięgi na „karność uniwersytecką“ w komplecie, krew się lała, Pogotowie było, policya była, pochód był — wszystko według szczegółów programu. Gdzież więc miejsce na sensacyę?

Wogóle Lwów, (na moje nieszczęście) wiedzie strasznie uregulowany żywot starego kawalera. Melancholia, nuda, pustka pokrywana na zewnątrz kolosalną „zabawą i ochoczością“. Monotonia cieknącej z rynny wody: ciągle te same i takie same zgromadzenia z rezolucyami i nawoływaniem do bojkotu, ciągle te same ataki na niewinnego Bazinka, ciągle rozprawy o morderstwo, nawet sensacya ubiegłego tygodnia: „pokrajanie witrażu Wyspiańskiego“, pokazała się humbugiem, skoro prezydent Ciuchciński oświadczył uroczyście, że 1) żadnego witrażu nie pokrajano, 2) witrażu takiego nigdy w magistracie nie było, 3) Wyspiański zdaje się żadnych witraży nie malował, 4) wogóle nie przypomina sobie, kto to był Wyspiański, w każdym razie nie był wpisany do księgi gminnej, 5) nie mówi się „witraż“, tylko „pasaż“, a pasażu przecie pokrajać nie można.

Zawiedli także i rzeźnicy. Spodziewaliśmy się, że na zwołanem przez nich zgromadzeniu zniżą ceny mięsa, jak się odgrażają od 2 miesięcy — tymczasem żalili się tylko na rzeźnię, stojącą pod zarządem urzędnika pocztowego. Zgromadzenie zakończyło się na skonstatowaniu różnicy między listem rekomendowanym a jałówką i wypływającem stąd wezwaniem do magistratu, by albo przeniósł rzeźnię na pocztę, albo, jeśli już koniecznie musi być w rzeźni jakiś urzędnik pocztowy, by mianowano dyrektorem jej p. Seferowicza. Żądanie to podpisali również wszyscy pocztowcy galicyjscy. Iskierkę humoru w dniach ostatnich wykrzesać można było tylko ze świeżo zawiązanego „Towarzystwa wzajemnej pomocy literatów i artystów“... Wiadomo, że literat i artysta nikomu jeszcze nie pomógł, najmniej zaś sobie—a już na swoich kolegach najczęściej psy i plotki wiesza (choćby np. ja w tej chwili). Pokazało się więc wkrótce, że jest to tylko robota pewnej „literatki“, która koniecznie chciała piastować jakąś godność i podpisywać się pod pieczątkami w komunikatach do redakcyi, z wyjątkiem bowiem korektora i 2 ciotek nikt jeszcze nie czytał ośmiu seryi jej „poezyi“. Najgorzej wyszła na tem p. Siemaszkowa, którą ubrano (dla firmy) w godność prezesowej tego humorystycznego przedsiębiorstwa.

Zresztą, jako się rzekło — nuda. Nuda mimo teatru, miejskiego i popularnego, filharmonii, 8 variété, 15 teatrów kinematograficznych, 25 amatorskich przedstawień co dnia, 73 wieczorów 3-wieszczów, 115 odczytów o Polu i Wyspiańskim i 218 koncertów, nieprzeliczonych kiermaszów, fotoplastikonów i panoptików. Lwów stanowczo rozwodnił całą zabawę, zdaje się pod znakiem dotychczasowej pogody.

Dopiero mróz zaczyna wprowadzać porządek we wszystko. Nie widzę w tem wielkiego przyczynowego związku, ale zestawiam tylko fakty. Oto zaledwie zamarzło na dobre, zaledwie Pogotowie opatrzyło 17 nosów i 25 uszu a już mieliśmy sensacyę na mokrym dotychczas gruncie. Jak zwykle — wielkie rzeczy rodzą się z małych: początek dało maleńkie ½ arkuszowe ogłoszenie magistratu, skromnie rozlepione w kącikach między afiszami. Ogłoszenie donosi o listach wyborczych do Rady państwa, które przeglądać można w biurach prezydyalnych. Nic w tem dziwnego, albowiem według ustawy magistrat corocznie w grudniu jest obowiązany wystawiać te listy do przeglądnięcia w celu ewentualnych poprawek. Na ogłoszeniu jednak o tem ani słowa — gdy zaś równocześnie rozeszła się po mieście pogłoska o rozwiązaniu Rady państwa, łatwo się domyślicie, co się stało. W mgnieniu oka powyłaziły z szynków hyeny wyborcze, wyciągając z łóżka zdumionych a przepadłych w maju kandydatów. Natychmiast potworzono „komitety“ wyborcze, kandydaci podpisali mnóstwo weksli, dali kupę zaliczek, poczęto drukować już ogłoszenia o zgromadzeniach, do redakcyi zaczęli przychodzić z prośbą o poparcie...

To dopiero zamieszanie! Telefony w robocie, fiakry, biuro korespondencyjne oblężone — magistrat również... Rodzą się nowi demokraci, nieprzejednani, skrajni, nieskorumpowani, miejscy, wiejscy, kolejowi, magistraccy, elektryczni.

Nareszcie grom! Wszystko pęka. Magistrat ogłasza nowe obszerne zawiadomienie — wyjaśnienie, rozczarowanie i... protesty wekslowe!

Jerzy Gips.



Trafiła kosa na kamień.

Powieść na tle aktów policyi paryskiej, napisał W. K.

5 Ciąg dalszy

Na to stary rybak uśmiechnął się znacząco, jakby chciał potwierdzić jej przypuszczenie. Zobaczywszy to, poczciwa kobieta zawołała radośnie:

— Panie, wszystko zrobię, co pan zechce, wszystko co potrzeba, byleśmy tylko znaleźli ciało panieneczki.

— Dziękuję pani bardzo. A teraz skoro pani tak bardzo kochała swoją panienkę, proszę mi przyrzec, że pani nikomu ani słówka nie wspomni o tem, co tu się mówiło. Niech się pani zdaje, że mnie tu nie było, że mnie pani nie widziała. Przecież to trzeba się starać o pocieszenie tych biednych rodziców. Widzę, żeście państwo oboje bardzo do nich przywiązani, więc zróbcież tak, aby się nawet nikt nie domyślał, że ja tu byłem, żeśmy tu rozmawiali, bo to potrzebne dla ich szczęścia.

Kobieta spojrzała podejrzliwie na rybaka, a potem na męża pytająco, jakby jego rady wyczekiwała. Ogrodnik przypatrzył się teraz uważniej rybakowi, uśmiechnął się nieznacznie i rzekł:

— Skoro rybak ma takie polecenie od państwa, to musimy przecież pomagać mu w tem, no i robić wszystko, co zechce. To już moja kochana wszyscy troje musimy iść zgodnie przed siebie, aby tylko państwa pocieszyć.

— Bardzo państwu dziękuję za obiecaną pomoc, za poczciwe przyjęcie, a teraz pożegnam panią, a was panie ogrodniku poproszę z sobą.

Stary rybak wyściskał serdecznie ręce poczciwej kobiety i wyszedł z ogrodnikiem. Gdy stanęli przed willą, rzekł ogrodnik:

— Jesteśmy u bramy.

— Czy niema tu innego wejścia? — zapytał Gutmann.

— Jest, ale w murze parkowym nad rzeką. Żeby się tam dostać, trzeba łódką podpłynąć. Tamtędy zawsze przybywa do willi pan Jacques ze swoimi przyjaciółmi, z którymi tu w karty grywa.

— Tak? a dlaczegóż nie wchodzą przez bramę?

— Tego to już nie wiem. Panowie wyjeżdżają często łodzią z panem Jacquem daleko w dół rzeki, a gdy wracają to im i bliżej i wygodniej wchodzić do willi przez furtkę w murze, niż obchodzić n a około, o jakie dwieście metrów. Zdaje mi się, że to dlatego, ale napewne nie wiem. Co prawda, to dawniej tego nie bywało.

— Tak? nie bywało? a odkądże się to tak dzieje?

— Dopiero od pół roku.

— A czy pan Blanc wie o tem?

— A oczywiście, że wie.

— I nie pytał się o nic?

— Starszy pan nie broni niczego młodszemu.

— A jak wam się też zdaje, panie ogrodniku, dlaczego to od pół roku takie spacery na czółnach się odbywają, skoro dawniej tego nie bywało?

— A cóż mnie to obchodzi — odpowiedział ogrodnik, spuścił oczy i kiwnął ręką.

Gutmann położył mu rękę na ramieniu i rzekł tonem stanowczym, patrząc bystro w oczy:

— No, no, wy tam już coś o tem wiecie, mój szanowny panie ogrodniku. Jestem detektywem, przybyłem tu na prośbę państwa, aby im córkę odszukać. Przedemną nie możecie niczego zataić, ja prawdę wiedzieć muszę.

Ogrodnik nie zmieszał się wcale i najspokojniej odpowiedział:

— Poznałem to zaraz, bom nie w ciemię bity. Powiem panu prawdę, że się bardzo ucieszyłem. We wszystkiem będę panu pomocny, bo ja tu czuję jakieś łajdactwo.

— Pomówimy o tem, a tymczasem dziękuję za przyrzeczoną pomoc. Teraz puśćmy się czółnem do furtki.

Było już ciemno i taka cisza w pobliżu Sekwany, że można było słyszeć odgłos kroków ludzkich, dochodzący z ulicy. Płynęli niedługo i czółno zatrzymało się przy kamiennych schodkach, wymurowanych w brzegu; po nich weszli do furtki. Tuż za nią była weranda willi, dotykającej jednem skrzydłem muru parkowego i w tem skrzydle właśnie był balkon, sterczący ponad zwierciadło rzeki. Balkon był drewniany. Widok z niego musiał być bardzo piękny, a szczególniej w kierunku wyspy i pola marsowego.

— Proszę mnie zaprowadzić na ten balkon — rzekł Guttmann.

— Czy zaświecić latarnię?

— Nie potrzeba. Nie chcę, żeby mnie tu kto widział. Kiedy pan Jacques przychodzi tu z towarzyszami?

— Rozmaicie bywa, ale od czasu owego nieszczęścia, nie widziałem go tu wcale, jednak...

— Jednak — co? Proszę nie przerywać, tylko mówić szczerze. Przecież wiadomo panu, że ja muszę wszystko dokładnie zbadać.

— Wiem o tem, ale przecież nie będzie pan przypuszczał, że...

— Co ja przypuszczam, co ja myślę, niech się pan o to nie troszczy, tylko nie można niczego przedemną taić. Zapewne zrozumie pan łatwo, że pan Blanc za szczerość hojnie pana wynagrodzi.

— No to powiem prawdę, — że tu w ostatnim czasie co nocy grywano.

— Czy pan to widziałeś, czy tylko się domyślasz?

— Domyślam się po wyglądzie salonu.

— To mu się zaraz przypatrzymy, ale przedewszystkiem pójdziemy na balkon.

Ogrodnik otworzył drzwi, wiodące na piętro i wszedł po schodach naprzód. Zatrzymali się w korytarzu, z którego wiodły szklanne drzwi. Ponieważ były uchylone, więc Guttmann postąpił naprzód, rozwarł je i wszedł na balkon, ale zaledwie na nim stanął, ogrodnik usłyszał głośne trzaskanie belek i nim do drzwi podskoczył, Guttmann z balkonem runął do wody.

V.

Nazajutrz około południa sześciu mężczyzn grało zawzięcie w osobnym pokoju hotelu „Union“. Byli to Jacques le Blanc i jego towarzysze biurowi: Emil Terra, pierwszy kasyer banku i Karol Claro, pierwszy buchalter. Prócz nich byli trzej inni, starsi już mężczyźni: kapitalista Petit, malarz Matternette i doktor Hergenrötter, osiadły w Paryżu od lat kilkunastu, Niemiec z Berlina.

Obok stołu sterczały z wiaderek zatknięte w lodzie butelki szampana. Nie żałowano go widać, bo kilka butelek stało już wypróżnionych. Na stoliku karcianym nie widać było pieniędzy, bo też nie o pieniądze grali, tylko o kwity. Grano w milczeniu. Na twarzach Jacque'a i jego towarzyszy biurowych widać było jakiś dziwny wyraz apatyi; grali, jakby zniewoleni, jakby z przymusu, a nie dla przyjemności. Natomiast tamci trzej mieli twarze ożywione, a szczególnie doktor okazywał ogromny spokój i zadowolenie i śledził przebieg gry energicznemi spojrzeniami.

Wreszcie grę skończono. Obliczono przegrane z taką obojętnością, jakby kwity dawać miano jeno la zabawki. Jacques i obaj urzędnicy bankowi przegrali ogromne kwoty; wygrał je doktor. Obliczywszy, ile każdego przegrana wynosi, podsunął im kwity do podpisania i schował je starannie, a potem rzekł obojętnie:

— Pragnę panom dać sposobność do odegrania się i dlatego zapraszam was na partyę do siebie. U mnie będzie nawet bezpieczniej, niż w hotelu.

— Najlepiej będzie, gdy znowu wrócimy nad Sekwanę — rzekł kapitalista Petit. Tam i bezpiecznie i wygodnie.

— Tak, tak — dorzucił malarz Maternette — niema to jak gościnność Jacque'a, jak urocza willa Blanc'ów. Poco nam szukać hoteli, poco doktorowi zawadzać, kiedy tam było tak dobrze. No — panie Jacques, cóż ty na to?

Jacques siedział zamyślony, spoglądał ponuro przed siebie i zdawało się, że nic nie słyszy i nikogo nie widzi.

— Odezwij-że się przecież — rzekł doktór Hergenrötter. — Siedzisz ociemniały, jakby cię miano jutro pod gilotynę prowadzić. Cóż u kaduka? Taki to z ciebie towarzysz zabawy?

— Jaques tak wygląda, jakby dostał kosza od jakiejś ukochanej milionerki — rzekł śmiejąc się kapitalista.

— A może zamyśla wstąpić do Trapistów — dowcipkował malarz.

Zaczęto się śmiać, żartować. Jaques słuchał tego obojętnie, milczał, ale czoło marszczył, widocznie snuły mu się po głowie jakieś myśli ponure, widocznie staczał jakąś walkę wewnętrzną.

— Przestańże już tej komedyi — zawołał doktór.

— To nie komedya doktorze — odezwał się wreszcie Jaques — ale straszna tragedya. Czego wy się śmiejecie? co? Co was rozwesela?

(Ciąg dalszy nastąpi)



Zagadki do nagrody.

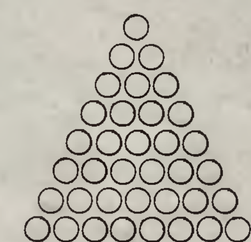
Szarada.

Weź pierwszą pojedynczo, masz ją w alfabecie,
Chcesz widzieć wielką rzekę, to *weź* tylko *trzecie*.
Trzecie, drugie i *czwarte* to taniec prześliczny,
Wszystko — kraj i ojczyzna mężów wielkiej chwały,
Których do dziś podziwia i wielbi świat cały.

Piramida.

Ułożył A. Rotter ze Stanisławowa.

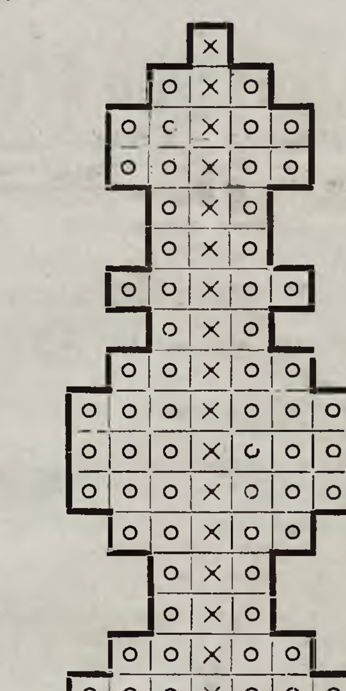
Każda kula przedstawia jedną literę. Co rząd dodaje się po jednej literze do poprzednich, a w ten sposób otrzymamy za każdym razem nowy wyraz.



Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Rzeka włoska. 3. Wulkan na Filipinach. 4. Kamień szlachetny. 5. Taniec wirowy. 6. Kraj w Europie 7. Rodzaj okrycia. 8. Nazwisko współczesnej powieściopisarki polskiej.

Logogryf.

Miejsce kółek i krzyżyków zastąpić literami w ten sposób, by litery środkowe czytane z góry na dół, dały znane przysłowie polskie.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Nieprzyjemne uczucie. 3. Kraj w północnej Azyi 4. Nakrycie twarzy na maskaradach. 5. Zaimek żeńskiego rodzaju. 6 Płyn z owoców. 7. Opowieść dla małych dzieci. 8. Zwierzę kolczaste. 9. Miasto na Śląsku. 10. Cesarz rzymski. 11. Bogini księżyca. 12. Imię męskie. 13. Taniec ukraiński. 14. Liczebnik. 15. Ptak drapieżny. 16. Zdrobniałe imię żeńskie. 17. Poeta polski. 18. Miasto we Francyi. 19. Starożytne miasto w Grecyi. 20. Kardynał polski 21. Instrument muzyczny. 22 Kraj w Grecyi, opiewany przez poetów. 23. Starożytna nazwa mieszkańca Afryki.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek, przeznaczamy Ludwika Stasiaka »Krwawe ręce«.

Rozwiązanie zagadek z Nru 49.

Szarada I.

Noc listopadowa.

Szarada II.
Salaterka.

Zagadka.
Michał Czajkowski.

Logogryf.
Wyspiański — Wyzwolenie.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: F. Kośmider N. Sącz, M. Arbesbauer Lwów, A Kmicic Warszawa, C. Pieniążek Zürich, J. Gomulińska Bóbrka, E Bogdalska Koropuż, I. Dik Andrychów. E. Mayer Milatyn nowy, P. Persowski Krosno. J. Jarociński Zürich, F. Niepokój Krosno, R. Jaworski Lwów. M. Rożański Libusza, dr. Boczar Kraków, M Opolska Czarny Dunajec, K. Jastrzębowski Częstochowa, W. Grabowski Tarnów, K. Fuchs Czeremchów, Grabowska Barwałd.

Nagrodę przez losowanie otrzymał dr. Boczar Kraków. Prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

Głosy publiczne.

Garderoba dla dzieci. Matki polskie zaprenumerować powinny od Nowego Roku zamiast niemieckiej »Kindergarderobe«, polską **»Garderobę dziecinną«** czasopismo wychodzące we Lwowie nakładem p. R. Landaua, z tablicą kroju i dodatkami »praktyczna gospodyni«, »kącik dla dzieci« itd. Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie i biura dzienników. Wynosi ona zaledwie 1·20 h., lub 60 kop. kwartalnie.

ZABAWKI
i gry towarzyskie

Polski Magazyn Uniwersalny - - firmy:

ROMAN DROBNER

Kraków, plac Szczepański.

49—21 Cenniki illustrowane. Wysyłki pocztą

Zawiadamiam Szanowną P. T. Publiczność, że w handlu mym **obecnie Rynek gł. 32** zostaje **dział zabawkowy**

na św. Mikołaja i Gwiazdkę

bogato zaopatrzony w wszelkiego rodzaju zabawki, gry towarzyskie dla każdego wieku po cenach bardzo umiarkowanych.

STEFAN PORĘBSKI

47—51 DAWNIEJ SCHULTZ

Kraków, Rynek główny L. 32

Najlepszy i najelegantszy

GORSET

który czyni każdą z P. T. Pań wysmukłą i nadaje figurze szyku, jest tylko u znanego

Specyalisty gorsetów

Hermana Piesena

Kraków, ul. Grodzka L. 4

Filia:

LWÓW, ul. Jagiellońska L. 7

do nabycia.

SPECYALNOŚĆ:

Opaska »La Néa« Dra Fz. Glénarda w Paryżu
C. P. a la Sirene Paris
H. P. Forme droite Rationelle





Zarobek tygodniowy

20 do 30 kor.

na naszych patent. płaskich maszynach „Slavia“ do wyrobów pończoszkowych przez wyrób wszelkiego rodzaju trykotarzy.

Pracę odbieramy z każdej odległości. Naukę udzielają nasze nauczycielki bezpłatnie.

Pierwsze gal. przedsiębiorstwo robót domowych

na płaskich maszynach **LIDAL & Co.** Zarejestrow. Towarzystwo handlowe Lwów, Kochanowskiego 35—66

Prospekta darmo i opłatnie.



Nowość! Gramofon »Tonarm«

a tubą kwiatową, bardzo eleg., ozdobą każdego mieszkania!

36 Kor.

10.000 Płyt na składzie.

Na żądanie przysyłam odwrotnie cennik i spisy płyt. Również **przyjmuję Gramofony** wszelkich system. do **naprawy**

Salo Mohr, Lwów, Rybie 1
(we własnym domu)



Bez nauczyciela, bez nauki specyalnej, bez znajomości nut,

może każdy na instrumencie mojego wynalazku „Blasaccordeon“ i „Flötofon“ grać wszystkie pieśni, tańce i marsze. Niezbędny ten instrument na weselach, zabawach, wycieczkach towarzyskich. Do każdego instrumentu załącza się na darmo „Podręcznik do nauki“ z bardzo łatwą metodą. Wysyła za zaliczką przez c. i k. nadw. dostawca

Hanns Konrad

Brüx Nr. 844 (Czechy)

dom eksportowy towarów muzycznych



Nr. 866. Nr. 2087.

Nr. 866 Blasaccordeon z 10 klawiszami, 20 głosami, 2 basami długości 36 cm.: **K. 2·50, 3 sztuki K. 7—** Nr. 2087, **Flötofon** z 10 klawisz., 20 głosami, 3 basami i cylindrem, długość 40 cm.: **K. 4·—, 3 szt. K. 11·—.**
Bogato illustrowany polski katalog z przeszło 3000 kliszami posyła się każdemu na żądanie darmo i franco.

1—12

Najtaniej

dostać można u firmy: **Józefa Feila**

w Krakowie, ul. Grodzka 60

wyroby złote i srebrne, oraz zegary i zegarki genewskie dobrze uregulowane, n. p. zegarek niklowy Anker z łańcuszkiem K 5. Cenniki wysyłam darmo.

Fotograficzny Akt-Studya!
Wspaniałe wykonanie! Śliczne modele wszystkich krajów na próbę: 1 fotografia gabinetowa i 150 miniatur za 1 K (w znaczkach pocztowych). Piękny wybór 5—10 K

O. SCHLABITZ & Sta. Berlin W. 57. Kr.

Na Gwiazdkę!



Zamiast 10 złr. tylko złr. 1·80

kosztuje piękny **kieszonkowy zegarek** ze srebra »Gloria« z plombą, do nakręcania co 30 godzin z sekundnikiem, z werki m pierwszorzędnej jakości, kotwiczny R montoir, z pięknie grawirowanemi koperami i z pięknym pozłacanym lub posrebrzonym łańcuszkiem wraz z dewizką, do kłodnicy tylko

złr. 1 80

Pozłacany zegarek, do nakręcania również co 30 godzin z najlepszym szwajcarskim werkiem Remontoir wraz z pięknym pozłacanym łańcuszkiem, kosztuje tylko K 5·80. Do każdego zegarka dołącza się dwuletnią piemną gwarancyę. — Zlecenia załatwia za pobraniem pocztowem 50—51

Eksport zegarków KOHANE
KRAKÓW, Nr. 40.

Za nieodpowiedni towar zaraz zwraca się pieniądze. — Liczne powtórne zamówienia otrzymano.

---

50 koron tygodn. i więcej łatwo można zarobić. Zapyt. we zgłoszenia pod **H. R. 1490** za pośrednictwem RUDOLF MOSSE w PRADZE

Prawdz. włoska okaryna

Ten nowy popularny instrument wydaje przyjemny, podobny do fletu dźwięk, posiada zupełnie chromatyczny regulator głosu, a uczący się może w krótkim czasie, przy miernem ćwiczeniu wygrywać najulubieńsze melodye. Do każdej okaryny dodaje się szkołę do samouczenia darmo. 37—51



Nr. I	Nr. II	Nr. III	Nr. IV
K: 1·20,	1·30,	1·40,	1·60.

Koncertowe instrumenty z czystym głosem do gry solowej, z regulatorem głosu chińskiego srebra, do towarzyszenia na fortepian

Nr. III	Nr. IV	Nr. V	Nr. VI
K: 2·80,	3·—,	3·40,	3·6.

Bardzo eleganckie okaryny z regulatorem głosu i klapami z chińskiego srebra

Nr. III.	Nr. IV	Nr. V
K: 7·—	7·50	8·—.

Przesyłka za zaliczką pocztową lub za poprzedn. nadesł. należytości

C. i k. nadworny dostawca

HANNS KONRAD

Dom przesyłkowy instrumentów muzycznych w Brüx, Nr. 548 (Czechy). Bogato illustr. polskie cenniki z przeszło 3000 rycinami na żądanie darmo i opłatnie.

Bez konkurencyi!

WANNY

trwałe cynkowe

od 7 złr. — gdzieindziej te same od 10 złr poleca **WOJCIECH ZAJĄC, Lwów,** Ossolińskich 14. Illustrowane cenniki franko.

Maszyny do szycia



wszelkich systemów w wielkim wyborze ręczne od 25 złr., nożne od 37 złr.

(Proszę żądać prospektów). **Gramofony** najlepszej konstrukcyi po cenach najniższych, jakoteż i **płyty** z pierwszorzędnych fabryk poleca

Fõbus Rosenman
Lwów, ulica Karola Ludwika 27.

Przędzalnia płócien

Emil Fuchs, Nachod
(Czechy)

oferuje swój duży zapas — około

50.000 metrów resztek 8 20 metrów długości,

najlepszych bez skaz, bielonych, dla najlepszych gatunków bielizny i pościeli nadających się.

94 cm. ozdobna rumburgska wołba po 24 ct., Oxford na koszule do prania po 17 ct., Zefir na suknie, bluzki i fartuszki po 7½ ct., Fianella na koszule, bluzki i halki po 18½ ct., Modny barchan na suknie domowe, halki i bluzki po 20 ct., Pluszowy barchan, śliczne wzory po 26 ct. Czysto płócienne prześcieradła bez szwu pod gwarancyą 145 cm. szerokie po 52 ct.

Ceny za metr

Przesyłki próbne oferujemy w pakietach 5 Klg. ważących, około 45 metrów lub 16 metrów płótna na prześcieradła. Wzory posyła się na życzenie tylko do jednej paczki próbnej. Przy odbiorze całego zapasu udziela się 4% rabatu.



L. Osterweil

zięć N. Adlera 49—9

LWÓW, Rynek 41, obok handlu WP. Hübnera

Skład i pracownia wszelkich wyrobów złotych srebrnych i jubilerskich jakoteż wielki wybór **Zegarków genewskich** oraz chińskiego srebra z najlepszych fabryk. — Ulgi w spłatach wedle umowy.

DOBRĄ PRZYSŁUGĘ

Przewyższa przy cierpieniach podagrycznych i reumatycznych wszelkie tego rodzaju środki.

wyświadczy się cierpiącym na podagrę i reumatyzm, polecając im:

KRIEGNERA

Wypróbowany przy cierpieniach podagrycznych, reumatycznych, kłóciu w boku, darciu w członkach, bólu pleców i postrzałach.

REPARATOR

(SPIRITUS PETRAE CAMPHORATUS)

Właściwy środek przeciw wszelkim podagrycznym i reumatycznym cierpieniom. Tysiące listów dziękczynnych

gdyż ten wielokrotnie wypróbowany środek nadaje się szczególnie do leczenia tych podagrycznych i reumatycznych cierpień. W wypadkach przeziębienia nadzwyczaj skuteczny!

Od dziesiątek lat w użyciu! Listy polecające od wielu znakomitych lekarzy

Nacierania KRIEGNERA **REPARATOREM** wykazują już po kilku dniach najlepszy skutek. — Cena jednej małej flaszki **1 K,** jednej wielkiej flaszki **2 K,** franko pocztą 5 małych flaszek **5 K** albo trzy wielkie flaszki **6 K.** — Do nabycia w każdej większej aptece i wprost u wytwórcy:
KRONEN APOTHEKE, BUDAPEST, VIII., Kalvin-Platz Nr. 8.
Wysyłka pocztą za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem należytości.

Garderoba dziecinna

Jedyny polski żurnal mód dla dzieci z dodatkami: »Praktyczna gospodyni«, »Dla młodzieży«, »Kącik dla dzieci«, »Dodatek literacki dla dzieci«. 51

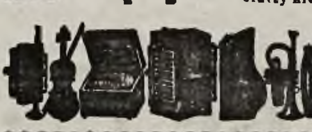
Wychodzi punktualnie 1-ego każdego miesiąca — nakładem

R. LANDAU we Lwowie, ulica Czarneckiego L. 3.

Prenumerata kwart: K 1·26 = 60 kop. z przesyłką
:: Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie ::

Skład główny na Królestwo i Cesarstwo w księgarni G. CENTNERSZWERA i SKI w Warszawie, ulica Marszałkowska L. 143.

Nie kupujcie instrumentu muzycznego, nim mojej oferty nie otrzymacie, jest ona bowiem o



25% taniej niż wszędzie. 30—52 1—3

J. Repralik, Lwów

Bukiety imieninowe, zaręczynowe, ślubne w najgustowniejszem ułożeniu. Wszelkie **rośliny pokojowe** tak **kwitnące** jak i **liściaste** - - -

Zakład ogrodniczy ANTONI KLIMOWICZ i SYN Magazyn kwiatów

Adr. telegr.: Klimowicz, Lwów. **LWÓW, PLAC HALICKI 14.** Adr. telegr.: Klimowicz, Lwów.

Wieńce pogrzebowe ze szarfami i z napisem oraz wszelkie artykuły w zakres ogrodnictwa wchodzące po jak najniższej cenie - - - -

